

# KUŹNICA

## TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok 2

Łódź, 18 marca 1946 r.

Nr 10 (28)

KSAWERY KARCZEWSKI

## Sprawa bloku wyborczego

### I. DEMOKRACJA — TO USTRÓJ SPOŁECZNY

Wyobraźmy sobie, że strażnicy porzucili wielki obóz koncentracyjny. Nowe wojska wyzwolicielskie jeszcze nie nadeszły. I więźniowie muszą się rządzić sami.

Ten zdemoralizowany katownią tłum, tłum pozbawiony środków, narzędzi pracy, wszelkich instytucji życia zbiorowego właściwych nowoczesnym społeczeństwom — chce się zorganizować demokratycznie.

I w tym celu nie myśli o stworzeniu normalizacji, uporządkowaniu materialnych podstaw życia zbiorowego, ale ogłasza wybory. I wierzy, że mocą tego zaklęcia z bezradnego, chaotycznego, głodnego tłumy — stanie się zorganizowanym, nowoczesnym społeczeństwem.

Otóż porządek musi być odwrotny. W historii mieliśmy wiele ustrojów demokratycznych. Demokracja nowoczesna — nie jest demokracją greckiego miasta — państwa. Decydują o tej odrębności swoiste cechy nowoczesnego społeczeństwa. W naszych czasach wielomilionowa gromada ludzi staje się nowoczesnym społeczeństwem, kiedy jej życie określane jest przez funkcjonowanie nowoczesnej kultury technicznej. Taka gromada ludzi jest społeczeństwem, gdy ma przynajmniej w pewnych (w każdej sytuacji praktycznie uchwytanych) granicach działający nowoczesny transport, nowoczesną sieć rozdzielczą towarów, nowoczesną produkcję przemysłową. Nie wspominam nawet dla skrócenia wyliczeń innych niezbędnych czynników o mniej wyraźnym charakterze, jak zinstytucjonalizowany i dostatecznie egzekwowany system prawny, stałe instytucje przygotowania nowych kadr technicznych i t.d. i t.p.

Demokracja jest ustrojem społecznym. Ustrój ten da się zbudować w społeczeństwie — nigdy w chaotycznej gromadzie ludzkiej. Demokracji nie wywoła magiczne zaklęcie wyborów, jest ona uwarunkowana twórczym wysiłkiem tej gromady ludzkiej, która przemienia się w nowoczesne społeczeństwo, normalizując przynajmniej do pewnej minimalnej granicy transport, wymianę, produkcję. Poniżej tej granicy (w naszej epoce faktycznie uchwytnej dla specjalistów w cyfrach) — nie ma społeczeństwa. Nie może być demokracji — która jest formą organizowania nowoczesnych społeczeństw, a nie luźnych, ginących w zniszczeniu i bezładzie gromad.

A trzeba dodać, że musi być przekroczona na również pewna granica utrwalania moralnych, nie tylko materialnych, instytucji życia zbiorowego.

### II. COŚMY ZROBILI DOTĄD?

Tu musiała zawinąć chyba również niewybredna literatura. Dlaczego bowiem przeciętny mieszczuch wyobraża sobie rewolucyjną władzę ludową tak bardzo fantastycznie? Dlaczego każdy krok partii lu dowych traktuje podejrzliwie, jako próbę uspienia jego czujności?

Ale rok doświadczeń powinien zatrzeć wrażenia sensacyjnej lektury o rewolucjach z młodych lat.

Polskie partie ludowe — stanowią Obóz Reformy. Ale program tych reform po pierwsze jest pomysły tak aby uniknąć zbędnych wstrząsów społecznych i gospodarczych, po drugie zaś, by zapewnić procesom odbudowy i normalizacji życia w Polsce maksimum sprawności, planowości, szybkości.

Oczywiście, naczelnym celem Obozu Reformy jest interes mas pracujących w Polsce, ale to jest równocześnie interes narodu. Jeśli radykalne partie robotnicze przed kilkunastu laty głosiły hasła takty-

czne bardziej typowe dla gwałtowników sprawiedliwości, to w obecnych warunkach politycznych i gospodarczych kraju ta taktyka uległa zasadniczemu przeobrażeniu.

Lud w Polsce jest u władzy. I już nikomu jej nie wydrze.

Warunkiem utrwalenia tej władzy jest planowa, sprawna i szybka odbudowa tych wszystkich instytucji życia zbiorowego, które pozwolą temu ludowi być gospodarzem nowoczesnego państwa, zbudować sprawiedliwy ustrój społeczny, być jednym słowem nowoczesnym społeczeństwem. Posiadać wszystkie cechy materialne i duchowe, które socjologicznie rzecz biorąc, takiemu społeczeństwu przypadają w udziale.

Rok prac Obozu Reformy wyraża się dostrzegalnymi dla każdego sukcesami. Uchroniliśmy się przed elementarnymi klęskami, każdy dzień przynosi wzmożenie bezpieczeństwa kraju. Przynosi porażki nierównie groźniejszych mściwców pokoju, ale eliminuje także nadużycia władzy, których nie powinno cierpieć nowoczesne praworządne społeczeństwo.

Gdy zestawimy dane liczbowe, dotyczące odbudowy po tamtej i po tej wojnie, zarówno w dziedzinie przemysłu, górnictwa, czy właśnie szkoły lub czasopiśmiennictwa, stwierdzimy, że tempo naszej odbudowy jest wielokrotnie szybsze, prze-

sprawniejsze. Ale nie tylko odbudowujemy zniszczone. Tworzymy rzeczy nowe. To co w wyniku reform gospodarczych przyniosła ruchy emancyacyjne mas, jest to zapowiedzią nowego życia narodu.

To co przynosi przemiana naszej polityki zewnętrznej jest zapowiedzią trwałości naszej pokojowej pracy i naszej suwerenności.

### III. SUWERENNOŚĆ BAŁKANÓW.

Zwycięstwo nad hitleryzmem nie wywarło skutków magicznych.

Te siły międzynarodowej reakcji, które pozwoliły długie lata zwyciężać faszystom w Europie istnieją nadal.

Sięgają one i na nasze ziemie. Traktują nas jak pionki swej rozpaczliwej rozgrywki, wygodnie im jest bałkanizować Polskę. Popierać Andersa. Popierać faszystowską dywersję w zniszczonym kraju.

Ten zamęt jest naszym największym wrogiem. Odbudowa, od której zależy nasz byt, wymaga spokoju, unikania zbędnych wstrząsów, zjednoczenia sił. To są banalne prawdy. A przecież, w rachunku namłotności, często się o nich zapomina. Są siły, którym zależy na mąceniu naszego spokoju.

Wiemy, iż wysiłki pewnych sfer angielskich idą w kierunku rozbięcia „bloku 6 stronniców”. Przez dyplomatów małych państw robi się daleko idące propozycje,

ZYCZYBYM, ABY ŻADNEGO NIE UŻYWAĆ GENERAŁA DO OBRONY WOLNOŚCI, KTÓRY DO NIEJ PRZYWIĄZANYM NIE JEST; NIE SPUSZCZAM SIĘ NA WIERNOŚĆ, TA CNOTA JEST WSPÓLNA NIEWOLNIKOM I SŁUŻALCOM.

Tadeusz Kościuszko

niektórym panom z PSL. Gwarantuje się poparcie za Anglię i... innych.

To już jest niedopuszczalnym naruszeniem naszej suwerenności.

Cóżbyśmy powiedzieli, gdyby inni sojusznicy nasi tak samo zaczęli postępować? Ale wstępczość nasze unika rozumowania i argumentacji, wstępczość nasze żywi się młotami dawno zamierzczymi. Nie ma sił i odwagi, by je poddać rewizji. Obok Zborowiczyny i Niewiadomszczyzny istnieje u nas spory odłam ludzi, którzy nie wiedzą, czego właściwie pragną. Z ich głów nie wyparował dotychczas mętny osad mesjanizmu. Posłuchajcie przynajmniej dyskusji na temat polityczny czy literacki, a usłyszycie zawsze głos towiańczyka, zabląkanego w nasze czasy.

Dzisiejsi przywódcy PSL nie zawahali się rzucić Warszawy na pastwę swych szaleńczych koncepcji. Nie uzyskali po rozumienia z Anglią, zawierzili Archaniołowi z mieczem. Ale Archaniołowie nie zjawiają się w świecie spraw realnych. W tej chwili dla wielu otumanionych Archaniołem tym jest Anders, kompromitujący dobre, krwią pokoleń kupione imię Polski w ziemi włoskiej.

Nie tylko emigracja ponosi winę. Ma ona mroźnych protektorów wśród międzynarodowych graczy politycznych, którym chwilowo dla takich, czy innych posunięć jest potrzebna. Jedno przesunięcie w tej niebezpiecznej grze usunie ją z pola widzenia.

### IV. WYBORY W BLOKU.

Wybory nie są zaklęciem magicznym. Wybory ani na jotę nie zmieniają przelotności naszych portów, ani o wagon nie zwiększą naszego transportu, ani o kilogram nie przysporzą dziennego wydobycia węgla na robotnika. Wybory nie odczują łapownictwa, spekulacji, tworzenia nielegalnych himbrowni. Tym nie mniej są konieczne i potrzebne, jako moralny zakład wzajemnego zaufania obywateli, oraz obywateli i rządu, jako realne i potrzebne narzędzie ludowej kontroli aparatu państwowego, jako fundament najszerszej samorządności.

Walka wyborcza natomiast opóźni naszą przemianę w nowoczesne społeczeństwo.

Tej walki winniśmy uniknąć, w walce wyborczej wypłyną ci wszyscy, którzy chcą burzyć, nie budować. To będzie pole popisu dla Andersa, często Andersa w sukmanie, „drobnego rolnika”. Parlamentarne formy walki nie burzą spokoju Anglii. To prawda. Ale Anglia jest nowoczesnym społeczeństwem, imponuje społeczną dyscypliną poszanowania prawa, ma nie naruszone fabryki, koleje, porty, ma dostateczną ilość szkół, szpitali, fachowych rąk do pracy. Przez Anglię nie przeszedł huragan. Dlatego Anglia już jest krajem demokracji parlamentarnej.

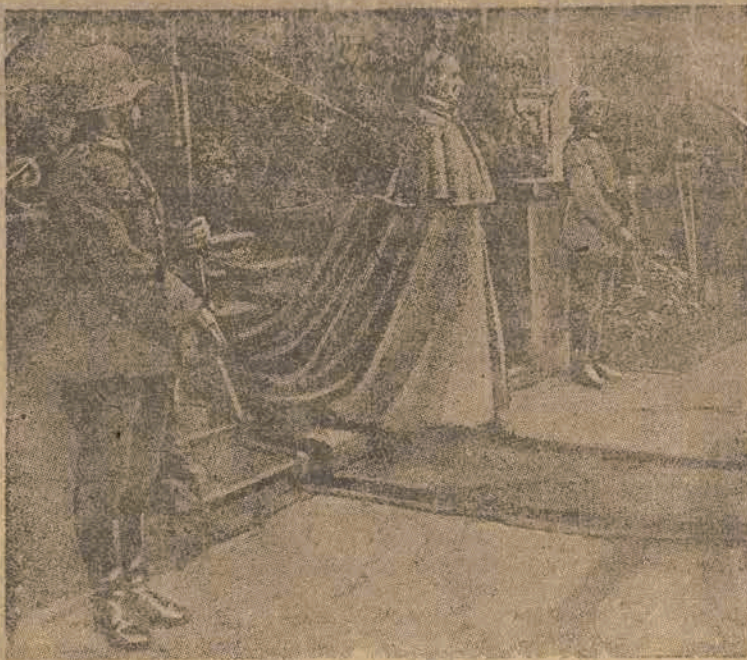
A my nie staniemy się nim w zgiełku walk wyborczych.

Do wyborów winniśmy iść w bloku. Bo to gwarantuje spokój, ład i ciągłość już od roku trwającej pracy.

Bo to gwarantuje spójność wewnętrzną: elementarny warunek naszej rzeczywistej suwerenności.

Powinniśmy wyteńczyć wszystkie siły dla odbudowy, odbudowy gospodarczej i odbudowy człowieka w kraju. Żadna częśćka tej energii, którą rozporządzamy, nie powinna być zmarnowana. Tymczasem walka wyborcza osłabi naszą jedność, rozproszy nasze siły, których intensywnego skupienia wymaga chwila dziejowa.

Trudno bez bólu i gniewu patrzeć na kraj, który po straszliwych zniszczeniach, po niebывалым upływie krwi, zamiast dążyć do zespolenia wysiłków nad odbudową, wysiłki te gotów jest zmarnować w ślepej walce wewnętrznej.



Kardynał Pacelli późniejszy Papież Pius XII z wizytą na Wilhelmstrasse

### Pius XII nie uznaje granic Polski

W słynnym liście pasterskim Piusa XII do narodu i duchowieństwa niemieckiego, zawierającym m. in. gorące ubolewanie nad losem wysiedlanych z polskich terytoriów Niemców, papież nazywa nasze ziemie odzyskane terminem „wschód Niemiec”. Tak więc w nomenklaturze watykańskiej Gdańsk, Wrocław i Opole nie są to tereny polskie, ale po prostu „Wschód Niemiec”. Innymi słowy w liście pasterskim, w którym każde słowo jest zważone i przemyślane, Pius XII dał do zrozumienia, że nie uznaje zachodnich granic Polski i z nowym układem naszych stosunków granicznych nie zamierza się liczyć. Musimy to przyjąć do wiadomości i dobrze zakarbować sobie w pamięci.

W tymże liście pasterskim znajduje się inny bardzo ciekawy ustęp świadczący o świadomym mijaniu się z prawdą w imię doraźnych celów politycznych. Papież wyraża miłanowicie podziękowanie i pochwałę klerowi niemieckiemu za to, że „w sumiennym pojnowaniu swych obowiązków bronili się i stawili opór szaleń-

czym ideom i zarządzeniom narodowego socjalizmu”...

Mimo najlepszych chęci, nie przypominamy sobie z lat wojny takiej obrony i takiego oporu. Wręcz przeciwnie, coroczne zjazdy episkopatu niemieckiego składały zawsze wyrazy hołdu i podziwu dla dzieła Hitlera, a po nieudanym zamachu na Fuehrera w lipcu 1944 r. — biskupi niemieccy złożyli mu również gorące gratulacje wraz z zapewnieniem odprawienia modłów na intencję dalszej jego pomysłowości. Pamiętamy też radosne orędzie biskupa Spletta, wydane w pierwszych dniach września 1939 r. z okazji zajęcia Gdańska przez wojska hitlerowskie. Gdzież tu jakiś opór, gdzie obrona przeciw szaleńczym ideom i zarządzeniom „narodowego socjalizmu”?...

Falszując nawet historię, Watykan wie z upośmiem po bezdrożach swej pronieemieckiej polityki! Niełatwo będzie do prawdy, wyostać się z tych manowców.

bd.



Partia wstecznicstwa, partia oporu przeciw demokracji rekrutuje się w tej chwili nie tylko z członków i sympatyków PSL. Mieści ona wszystkich niezadowolonych z obecnego stanu rzeczy, nawet tych wszystkich, którzy mimo że są przeciwnikami jakiegokolwiek stronnictwa ludowego idą za PSL dlatego tylko, że widzą w nim ośrodek opozycji przeciw rządowi i reformom.

Partia ta jest rzeczywistością nad wyraz pojemną. Ci, którzy nie mają żadnego konkretnego programu politycznego prócz starych uprzedzeń i nowej nienawiści znajdują w niej ostoję i drogowskaz.

Wszelkiego chowu mętniacy, mitomani, mesjanści zerkaają w jej stronę. Ci ludzie, którzy mają w pogardzie myślenie, ci którzy na wydarzenia historyczne patrzą od schodów kuchennych i myślą, że historię można wynająć, jak się wynajmuje mieszkanie, ci którzy nie liczą się z realnymi siłami, lecz idą za dzikim natchnieniem zabobonu i mitu, oni także zajmują nieostatnie miejsca w Partii Wstecznicstwa.

Zaprawdę niewieleśmy się nauczyli z ciągu 150 lat historii powszechnej. Gdyby teatry nasze wystawiły obecnie „Sarmatyzm” lub „Powrót posła” całe zdania z tych zadziwiająco rozsądnych, kwitujących

mocno w rzeczywistość polskiej utworów brzmiały dzisiaj żywo i donośnie. Ponura brednia Sarmatów trwa, w zmienionych warunkach historycznych, ten sam opór przeciw Reformie. Blok Stronnictw Demokratycznych musi kontynuować walkę o przyszłość Polski. Musi udźwignąć ten opór wstecznicstwa, które z „wyszczereczonymi na jutrznie łebami” usiłuje zawrócić bieg wydarzeń.

Zbyt wiele w ciągu naszego istnienia straciłszy szans historycznych, zbyt często potęgą ciemnoty, potęgą socjalnego nierozumu zwyciężała u nas rozsądek polityczny, realne liczenie się z faktami, po-

czucie rzeczywistości. Walka o nowy ład w Polsce, to walka nie tylko o nowy, lepszy ustrój, ale również o ład myśli. Wezyscy, którzy tę prostą prawdę zrozumieją, pójdą z Blokiem Wyborczym.

Blok Wyborczy to program Obozu Reform. To program zwolenników ludowej władzy i owocnych przemian społecznych i jednocześnie program ludzi rozumnych.

Dzisiaj, wobec faktu obalenia przez PSL koncepcji bloku wyborczego — rozumnym patriotom w Polsce pozostaje jedno: izolować zwolenników marnowania sił na gry wyborcze, izolować jako szkodników społecznych.

Ksawery Kuczkowski

JAN REYCHMAN

# Prawdziwy Kossuth

19 MARCA 1944

W szary, ciemny i pochmurny dzień 19 marca 1944, gdy kolumny pancernych wojsk niemieckich nieprzerwanym sznurem sunęły autostradą Budapeszt — Wiedeń ku stolicy Węgier, upływało właśnie 50 lat od śmierci Ludwika Kossutha. Czy wkroczenie wojsk niemieckich przypadkiem tylko zbiegło się z rocznicą zgonu „turyńskiego samotnika”, czy też oba fakty łączył jakiś nieznaną węzeł przyczynowo-skutkowy? Nie należy zapominać, że w 1943 roku uroczystości 120-letniej rocznicy Pełtőfiego zmącił niemiecki protest, że co roku bładziej, aby nie drażnić niemieckiego sojusznika, wypadła rocznica 6 października święcona na cześć ofiar haynowskiego terroru w Aradzie z roku 1849. Co będzie na rocznicę Kossutha? Pytanie to rozwiązała niespodziewana odpowiedź sami Niemcy.

Posunięcie Niemców, dokonane w ów szary poranek 19 marca 1944, kończyło na Węgrzech pewną epokę; epokę dziwacznych iluzji, fikcyj, fałszywego „dobrej farniente”, niezwykle ciekawą a godną osobnej analizy t. zw. „erę kallayowską”. Dzień 19 marca zamknął bezpowrotnie ten dziwny okres, w którym kierownicy polityki węgierskiej pojmując fakt omijania Węgier przez wojnę i kurtuazyjne traktowanie ich przez hitlerowski sprzymierzeńca, jako dowód znaczenia i potęgi swej ojczyzny, prowadzili „wielką” politykę wierząc nawnie, że Węgry są kluczem świata, że lawirowaniem w wielkim konflikcie dwóch obozów może wygrać mały, pośród wrogów położony, naród.

Dzień 19 marca 1944 przekreślił te marzenia, reszty dokonały bombardowania angielskie...

Nad całą erą Kallaya unosi się cień Kossutha, unosi się nad dniem 19 marca, unosi się nad dzisiejszymi Węgrami. Nigdy może jeszcze w ciągu ostatnich lat nie powoływano się na czyjeś imię tyle, co na pamięć Kossutha, jednego z największych trybunów ludowych XIX wieku. Ale też rzadko kiedy czyjeś idee ulegały takim zniekształceniom, czyjaś sylwetka była tak fałszowana, czyjeś słowa tak bez pardonu przekręcane jak ma to miejsce wobec „samotnika z Turyń”. Właśnie świeżo w rumuńsko-węgierskim Cluju (Kolozsvárze), zawsze żywym ośrodku demokratycznej myśli węgierskiej, ukazała się książka jednego z pisarzy obecnych Węgier Józefa Revai (\*), pisana jeszcze częściowo w Moskwie a poświęcona Ludwikowi Kossuthowi i jego idei ujętej jako tło dla teraźniejszych Węgier.

## TRYBUN LIBERALNEJ SZLACHTY

Okres, w którym Kossuth wystąpił na widownię, lata trzydzieste ubiegłego wieku, były na Węgrzech okresem t. zw. reformy. Gro- no światłego średniego ziemiaństwa, pod wpływem z Zachodu idących prądów i realizowanych w Anglii i w lipcowej Francji rewolucji mieszczańskich, przedsięwzięło śmiało próbę reform skostniałego w feudalizmie ustroju swej ojczyzny. Była to liberalnie usposobiona szlachta, która zdawała sobie sprawę, że bez głębokich przemian nie wyprowadzi kraju z impasu gospodarczo-społecznego, w którym się znalazł, że musi dojść do wytworzenia stanu trzeciego, że chłop musi być wciągnięty w orbitę narodową, że droga tworzenia podstaw własnej gospodarki, musi być położony koniec eksploatacji kolonialnej Węgier przez powstający kapitał austriacki.

Śród bojowników reform byli ludzie rozumni. Jedni entuzjastycznie się ideą odzyskania dawnych swobód narodowych, separowania się od Austrii, ale obawiali się jakichkolwiek wstrząsów czy przemian społecznych, inni snuli znów daleko idące śmiało plany przebudowy gospodarczo - społecznej, na dalszy plan odsuwając porzeczki z Austrią.

Ludwik Kossuth, śród bojowników o reformę Węgier z lat czterdziestych ubiegłego stulecia, wyróżniał się bezkompromisowością i konsekwencją. Zagadnienie przebudowy Wę-

gier uważał za organicznie związane ze sprawą niepodległości narodowej. Związek wielkiej własności z Wiedniem uważał za największą przeszkodę tworzenia rodzimej warstwy średniej i uwolnienia chłopów; wiedział, że oderwanie się od Austrii możliwe będzie jedynie w oparciu o zjednoczony naród, którego wszystkie warstwy będą równotworzącymi czynnikami. Wiedział, że przebudowa w duchu burżuazyjnym, bez równoczesnego zerwania związków z kamarylą dworską, będzie nietrwała i pozostanie wystawiona na połączone zakusy reakcji wiedeńskiej i węgierskiej. Zagadnienie, kolejności rozwiązywania problemu budowy gospodarki, tworzenia mieszczaństwa, uwłaszczenia chłopów a dążenia do niepodległości — zagadnienie i dla nas Polaków tak aktualne, bądź w erze Królestwa Kongresowego już to, za Wielopolskiego, nie istniało dla Kossutha. Obie kwestie były dlań nierozdzielnie związane.

Pragnąc wciągnąć wszystkie siły do czynnej pracy przy budowie nowych Węgier Ludwik Kossuth pozostał mimo wszystko przywódcą szlacheckim i — czego pomijać nie wolno — dla warstwy tej, warstwy „historycznej” rezerwowal rolę kierowniczą. Ale nie wpadamy w często spotykany błąd, nie sądymy faktów z pierwszej połowy XIX w. ideami z XX-ego. Na Węgrzech nie było jeszcze węgierskiego mieszczaństwa, chłop był w niewoli feudalizmu. Warstwa, którą reprezentował Kossuth, warstwą społeczeństwa, była warstwą przodującą, realizującą postępowe dążenia ówczesnego społeczeństwa, była warstwą rewolucyjną. Pozycja Kossutha, jako przywódcy najbardziej radykalnego jej skrzydła, również była pozycją rewolucyjną. Nie można więc przenosić schematycznie sytuacji z tamtych czasów na czasy obecne, aby np. usprawiedliwić czy tłumaczyć misję szlachty, wówczas jeszcze historycznie żywej warstwy, będącej w ostatnim okresie główną bazą rządów węgierskich z lat 1919 — 1944. Pamiętać należy, że — jak to Revai słusznie podkreśla — w r. 1849 poza szlachtą nie było na Węgrzech żadnej innej warstwy uświadomionej, a w r. 1944 był mieszczaństwo, był chłop, był robotnik. Tak samo nie można mówić o Kossuthskiej demokracji, o głoszonej przez niego jedności narodowej, wciągnięciu do życia narodu wszystkich warstw, co głośno było stałe w prasie i propagandzie czasów kallayowskich, skoro równocześnie wody nabiera się do ust na temat stosunku do Niemców, wykrętnie pomija się opinie Kossutha o polityce Wiednia zagadnienie niepodległości narodowej owija się w mgliste frazesy „wspólnoty europejskiej”. Kossuth jest niepodzielny i idei jego, tak właśnie dzisiaj aktualnych, fałszować nie można.

## BEZ KOMPROMISÓW

O ile jeszcze Kossuth z lat walki o zniesienie przywilejów szlachty i o reformy dałby się jeszcze spreparować do użytku propagandy z okresu braterstwa broni z Niemcem, o tyle Kossuth lat rewolucji, z 1848—1849 r. pozostał dla tych fałszywych komentatorów ciężkim do zgryzienia orzechem. Reprezentował bowiem siły i idee zbyt niebezpieczne dla ludzi żyjących osiłą Rzym — Berlin: bezkompromisowość w walce o wolność, radykalizm w programie społecznym i świadomość łączności między walką tocząca przez Węgry a innymi ruchami rewolucyjnymi w Europie, świadomość wspólnej walki ludów ze zjednoczonym przeciwnikiem obozem absolutyzmu.

Rewolucja węgierska z 1848 roku zgromadziła w swym obozie ludzi o najróżniejszych przekonaniach. I takich, którzy gotowi byli za dowolnie się pewnymi ustępkami zastraszonego cesarza, i innych twierdzących, że rzuconą w twarz rękawicę trzeba podnieść i walczyć do końca, raczej ulec, niż ugiąć się przed tyranem. „Naród węgierski gotów jest raczej zginąć do ostatniego człowieka, niż zezwolić na starcie z powierzonej swego kraju” — mówi Kossuth 7 października 1848, a gdy w styczniu 1849 „partia pokojowa” próbuje nawiązać rozmowy z marszałkiem

Windischgratzem, który żąda „bezwzględnie poddania się”, pada z ust Kossutha proste powiedzenie: „naród nie może podpisać na siebie wyroku śmierci”...

Ale trzeba pamiętać, że w tej walce z ugodowcami, z kopromisowo usposobionymi ugrupowaniami, z duchami słabymi i nieśmiały, pomocą był mu lud węgierski, ten tłum złożony ze studentów, rzemieślników, robotników, radykalizujących drobnych urzędników i inteligentów, rewolucyjnie usposobionej młodzieży, postów i pauprów, którzy niejednokrotnie, ile tylko razy coś się psuło w jednolitej linii politycznej rewolucji, ile tylko razy podnosiły głowę żywiły ugody obawiając się społecznie rewolucyjnych skutków dotychczas przeważnie politycznej rewolucji, gromadnie wylegali na ulicę i zmuszali bojaźliwe żywiły rządu do energiczniejszego wobec Wiednia stanowiska. (Znamy i my te zjawiska z 1794 i 1831). Kossuth wyraźnie widzi wroga na prawicy, sam steruje na lewo, pragnie stworzyć demokratyczną armię ludową, tworzy zbrojne w dzidy; piki i kosy oddziały partyzanckie. Ich to istnienie jest w dużej mierze źródłem niechęci, którą będzie zawsze żywił wobec Kossutha, Górgey, typowy przedstawiciel starej oficerskiej warstwy węgierskiej, zasklepiawej w swojej kastowej odrębności. Cóż bardziej obcego niż ten Kossuth nie znoszący żadnego kompromisu, nie gnący przed nikim, wolący raczej półwiekowe wygnanie, niż służbę dla tyrańca, organizujący partyzantkę ludową, aby nawet w razie klęski niszczyć z zasadzki wroga — Węgram z lat 1941 — 1944, obawiającym się własnego cienia, nie zdobywającym się na opór w warunkach stokrój korzystniejszych niż w r. 1849, tak łatwo godzącym się z narzucaną im wolą, tak łatwo stosującym się do zmieniających się jak w kalejdoskopie okoliczności? Nic dziwnego, że ten okres działalności Kossutha znalazł się jakby na indeksie, albo też był tak przedstawiany, jakby bezkompromisowość Kossutha nie odnosiła się do walki z istotnym wrogiem, którym była europejska reakcja usobiona wówczas w Wiedniu, ale do militarnego przeciwnika Węgier, którym, pod koniec powstania, był śpieszący Franciszkowi - Józefowi na pomoc, w imię solidarności całej reakcji europejskiej, car rosyjski; stąd analogie 1849 — 1914 — 1941...

## SZLACHECKI REWOLUCJONISTA

Kossuth w walce z ugodowo usposobionym skrzydłem parlamentu opierał się na masach ludowych. Kossuth należał do najradykalniejszych przywódców lewicy sejmowej, był szermierzem idei uwolnienia chłopów, równomiernego rozłożenia ciężarów, wolności prasy, był prawdziwym rewolucyjnym trybunem, jednym z największych jakich wydał wiek XIX. Ale — jak to już wspomnieliśmy przy omówieniu jego działalności w epoce reformy — nie sądymy go wzorami z XX wieku. W swych poglądach społecznych nie poszedł tak daleko jak taki Tancsics, otwarcie domagający się zaboru ziemi i podziału jej między chłopów. Nie poszedł tak daleko jak Pełtőfi, śniący o drugiej rewolucji, która by zmioła wszystko to, co stoi jeszcze na drodze do prawdziwej wolności. Wzdrażał się przed uznaniem praw mniejszości nie węgierskich.

Pozostał nie tylko szlachcicem, ale i przywódcą szlacheckim. Przyznanie ziemi chłopom — owszem, ale za odszkodowaniem. Szlachcie uważał w dalszym ciągu za warstwę kierowniczą; wszak jeszcze 14 marca 1848 powiedział w wielkiej mowie: „Nam (t. j. szlachcie) przypadło teraz wspaniałe zadanie, aby mądrze kierować ruchem, aby ster pozostał w naszych rękach”. Ale to bynajmniej nie odejmuje mu laurów rewolucyjnych.

Rewolucja węgierska była jednym z ogniw wielkiego łańcucha rewolucji demokratycznych Europy. W danej chwili szło o jej zwycięstwo, a do tego zwycięstwa, potrzebna była jedność narodu. Rewolucja na zachodzie Europy padła, gdyż zwycięska burżuazja skapitulowała przed reakcją, bo zlekka się nowych sił, które pokrzyły się na barykadach zaczynając żądać

praw dla siebie. Na Węgrzech nie było tych tak uświadomionych ostrych przeciwieństw klasowych, tłum manifestujący na ulicach Budapesztu zbyt silnymi połączony był węzłami z drobną rewolucyjną szlachtą, aby dać się przeciw niej wygrać. Szlachta ani burżuazja nie miały się czego obawiać z tej strony, nie było więc potrzeby wywoływania widma rewolucji ludowej, zarówno jak nie mogło być mowy o rewolucji chłopskiej, skoro sama szlachta godziła się na ustępstwa, uwłaszczyła chłopów, rzekła się przywilejów. Taktyka Kossutha stopniowego wymuszania tych ustępstw okazywała się najskuteczniejszą.

Ale pamiętajmy, że o ile Kossuth dla obrony kraju przed wrogiem, dla utrzymania nadal wysuniętego bastionu walki o wolność realizował jedność narodową, to bynajmniej nie po to, by zamazywać różnice społeczne, aby maskować niesprawiedliwości czy krzywdy, ale, aby pod tę jedność kłaść określoną treść społeczną. I dlatego Kossuth z tego okresu nie może być patronem propagandy z lat 1941 — 1944 usiłującej pod hasłem jedności narodowej niwelować wszelkie odruchy dążące do poprawy bytu warstw niższych, kneblującej demokratyczną prasę i publicystykę, natomiast winien stać się wzorem dla wysiłków podziemnych węgierskich ugrupowań niepodległościowych z ostatnich miesięcy okupacji niemieckiej, usiłujących wokół sztabu walki z hitleryzmem skupić wszystkich węgierskich patriotów — od skrajnej lewicy poprzez chłopów z partii Eckhardta, aż do liberalnej „gentry” spod znaku „Magyar Nemzet”, — ale na określonej platformie społecznej, wokół ściśle określonych haseł programu stanowiącego konieczny, choć minimalny etap na drodze przebudowy Węgier.

## SOLIDARNOŚĆ LUDÓW

Rewolucja węgierska była najbardziej na południowy - wschód wysuniętym bastionem wielkiej walki o wolność, jaka toczyła się w całej Europie: Wiedniu, Paryżu, Berlinie, Badenii czy Wenecji. Nie była więc osobnym odruchem, oderwanym przedsięwzięciem, ale ogniwem w wielkim łańcuchu i to ogniwem ważnym, od którego powodzenia zależały losy rewolucji w całej moze Europie. Stąd z zapartym tchem śledzono rozwój rewolucji węgierskiej na Zachodzie, stąd sympatie dla powstania u wielkich myślicieli i demokratów współczesności. „Neue Rheinische Zeitung” pisała o rewolucji węgierskiej: „Od dłuższego czasu po raz pierwszy spotykamy prawdziwie rewolucyjny charakter meża, który w imieniu swego ludu ośmiela się podjąć rękawicę niepewnej walki, który dla swego narodu jest Dantonem i Carnotem w jednej osobie — to Ludwik Kossuth”. A Marx nazywa Węgrów „bohaterami 1848 roku”...

Tę solidarność walczących o wolność ludów, solidarność frontu wolności, frontu demokracji w walce z frontem absolutyzmu, frontem reakcji europejskiej, najlepiej zrozumiał znów nie kto inny jak Ludwik Kossuth. Dla niego jasne było, że nie ma wolnych, demokratycznych Węgier, bez wolnej, demokratycznej Europy, bez wolnej Polski czy Rumunii — ale też nie ma wolnej Europy bez wolnych Węgier, które są ważną pozycją w kluczowym systemie narodów nad Dunajem. Stąd więc koncepcje legionu polskiego, niemieckiego, włoskiego, nawet rumuńskiego przy boku Węgrów, to znów kołatanie o pomoc u demokracji zachodnich z powołaniem się na łączność losów wszystkich demokracji. Kołatanie tak nam, Polakom, znane — od misji Barsa z r. 1794, poprzez legację Kniaziewiczza i Platę z r. 1831, aż do wysiłków Wł. Czartoryskiego w r. 1864 — i równie jak polskie wysiłki bezskuteczne. Zresztą łączność sprawy węgierskiej z rewolucją europejską nie kto inny wysunął na światło dzienne, ale wróg, w odezwie usprawiedliwiającej wystąpienie przeciw rewolucji węgierskiej potrzebą ochrony „spokoju i bezpieczeństwa” zagrożonych, przez łączność Węgrów z „żywiłami wrotowymi” Europy...

\* Revai József, Kossuth Lajos, Kolozsvár, Jozsa B — Ateneum, 1948.



Ten motyw solidarności ludów, wspólnego frontu walczących demokracji przeciw zjednoczonej reakcji też należał do wstydliwie pomijanych u nowszych komentatorów Kossutha z czasów, gdy dziwnym zrzędzeniem losu Węgry znalazły się właśnie w obozie przeciwnym demokracji, przeciwnym walczącym o wolność ludom, u boku największego wszelkiej wolności wroga. Dopiero, gdy w późniejszym okresie szukająca jakichś nowych sloganów propaganda niemiecka próbowała z Finlandii, Rumunii, Węgier, Słowacji, Chorwacji, Bułgarii kleić jakiś wspólny front „zagrożonych” narodów, próbowano i tu podsyć się pod tamte dawne ideały z r. 1848. Ale było to zbyt grubym już szyte niemi...

#### WIDMO PANSLAWIZMU

Powolano się często na Kossutha jako apostoła „walki z panslawizmem”. I tu znów nastąpiło grube fałszerstwo. Podczas rewolucji węgierskiej mniejszości słowiańskie — z przyczyn, których tu nie będziemy omawiać, ale, gdzie strona węgierska dużo ponosi winy — wystąpiły przeciw rewolucji. Poparły reakcję wiedeńską i zostały przez nią nawzajem poparte. Była to tragedia Węgier zarówno jak i tragedia tych ludów, które dały się pociągnąć przez ówczesne hasła panslawizmu.

Czym był wówczas panslawizm? Było to hasło na wskroś reakcyjne, rzucone przez cara rosyjskiego a dyskutowane następnie przez cesarza austriackiego w jego walce z rewolucją. Przeciwnemu reakcyjnemu prądowi w imieniu obozu rewolucyjnego i demokracji występował wtedy Kossuth, jak przeciw niemu Marx czy Engels. Że Kossuth nie był przeciwnikiem nie tylko wolności narodów słowiańskich, ale nawet ich solidarności, dowodzi tego jedna z jego enuncjacji, z późniejszych już czasów, z r. 1860, kiedy mówiąc o otaczających Węgry ludach słowiańskich wyraża się: „ludy te, ani każdy z osobna, ani razem wzięte, nie mogą być dla nas niebezpieczne, o ile są wolne... Żadnego niebezpieczeństwa słowiańskiego” Kossuth nie widział i mechanicznie przenoszenie sytuacji z r. 1849, gdy Węgry walczyły o wolność a Serbowie, Chorwaci czy Słowacy znaleźli się w ognie reakcji na rok 1944, gdy ludy otaczające Węgry walczyły o wolność, a Węgry znalazły się w gronie wasałów Hitlera, nie może prowadzić do żadnych istotnych wyników.

#### FEDERACJA CZY IMPERIALIZM?

Wreszcie ostatni motyw, który wiele wody namacił, wiele spowodował zamieszania, wciąż wywoływał cień Kossutha, wciąż świadczył się jego imieniem — to jego koncepcje „federacji naddunajskiej”. Żaden inny okres jego działalności nie budził tyle zainteresowań co te próby federacyjne. Przypomnieli je ostatnio Gal, Mike, Thim, Lengyel, Janossy, Acs, Lajtos, Katona i inni. Historycy, publicyści, politycy, dziennikarze. Jakież były rzeczywiście Kossutha w tej sprawie poglądy?

Źródłem tej koncepcji federacyjnej — która i nas interesuje, gdyż u jej kolebki stoi bezspornie wpływ ówczesnej emigracyjnej ideologii polskiej, co domaga się osobnego zbadania jest doświadczenie 1849 roku, gdy Węgry znalazły się w walce o wolność same. Jednym z motywów niechęci pewnych kół anglosaskich do Węgier była obawa, że niepodległe Węgry zburzą „system równowagi europejskiej”, którego podstawą jest „Austria”. Chodziło więc o to, aby na miejsce tego systemu zbudować nowy, także zrównoważony, lecz obywateli się bez Austrii. Stąd koncepcje federacyjne Kossutha. Zdawał on sobie dobrze sprawę, że, aby związać sąsiednie narody, aby zburzyć mur nieufności w stosunku do Węgrów, konieczne są duże ustępstwa w stosunku do narodowości, mieszcących się wewnątrz Węgier. W roku 1849 Kossuth przeciwny był ustępstwom, do których namawiali go Polacy, to prawda, ale pamiętajmy, że wtedy narodowości te stały po stronie reakcyjnego Wiednia. Teraz była okazja do wyrównania sporów. Kossuth poczynił, jak na ówczesne czasy, jak najdalej idące ustępstwa, godził się na separację Chorwacji, samookreślenie Siedmiogrodu, autonomię dla Serbów. Projektowana federacja miała być blokiem wolnych, demokratycznych narodów Europy południowo-wschodniej przeciw imperializmowi, zagrażającej ich wolności, europejskiej reakcji.

Zobaczmy, jak pomysły te wzywane były przez publicystykę polityczną? Były one woda na młyn koncepcji o „przodującej roli Węgier w basenie naddunajskim”, o „misji korony św. Stefana”. Z bloku demokratycznych wolnych narodów, walczących przeciw imperializmowi, uczyniono koncepcję... bloku satelitów u boku Niemiec. Z idei, w której Kossuth poszedł na dalekie ustępstwa nawet kosztem integralności terytorium, aby zaspokoić słuszne żądania narodowości, uczyniono punkt wyjścia dla rozważań o panującej roli Węgrów od Karpat do Adriatyku i Sawy, przy „nienaruszalności terytorium węgierskiego”.

I jeszcze raz sprawdza się, jak nie można mechanicznie przenosić koncepcji tworzonych w innych warunkach w czasy obecne. Niektóre punkty w projektach federacyjnych Kossutha z lat sześćdziesiątych razić mogą swym zacięciem. Ale pamiętajmy, że było to po doświadczeniach z 1849 roku, że narody serb-

ski czy słowacki nie posiadały innej karty poza tą, że Rajacich czy Hurban znaleźli się w r. 1848 po innej stronie barykady niż Węgry i cała demokracja Europy. Miara stosowana przez demokratyczne, w promieniach chwały z 1849 r. chodzące Węgry, w odniesieniu do smutnie zapisanych, pod komendą austriackich generałów walczących Słowaków czy Serbów banackich, nie może być stosowana przez idące w hitlerowskim ogniu Węgry w stosunku do mających za sobą najpiękniejsze karty epopei walki z hitleryzmem jugosłowian. Szum koło planów federacyjnych Kossutha w ciągu ostatnich lat — to tylko bezskuteczna próba koncepcji powrotu, choćby w formie luźniejszego związku ziem odpadłych po 1920 r., powrotu, o który rewizjonizm węgierski modlił się przez

lat 25. Koncepcja federacyjna miała te plany maskować, olbrzymi aparat naukowy udowadniający „państwowotwórczą” rolę żywiołu węgierskiego miał przygotowywać teren i opierać zagranicę. Dziś plany te pogrzebane są bezpowrotnie.

#### PRAWDZIWIY KOSSUTH

Zresztą pamiętać należy, że tak jak dziś fałszują testament ideowy Kossutha tak i współczesność niewiele go rozumiała. Plan federacyjny potępiono jako „rozczłonkowanie” Węgier. Zamiast pogodzenia się z narodowościami, pogodzonb się... z Austrią, kosztem narodowości!

Ze swej turyńskiej pustelni ostrzegał Kossuth przed skutkami tej polityki. Proroczo

brzmiały jego słowa, ostrzegające naród przed pójściem na pasku wiedeńsko-berlińskiej polityki, głównie kosztem słowiańskich narodowości. A polityka ta nieuchronnie pchała te narodowości w ramiona antywęgierskiej, z zewnątrz granic idącej, propagandy, przez to pchała Węgry w objęcia Wiednia, a w ślad za tym i Berlina. I przyszło straszne doświadczenie 1920 r., a potem drugie jeszcze surowsze z 1944 r. I nagle okazało się, kto przed 80-ciu laty proroczym głosem przewidywał klęskę, do której po równi pochyłej ciągnięto Węgry, odurzony mirażem fikcyjnego szczęścia. Z tragedii dzisiejszych Węgier wyłania się znów cień Kossutha, prawdziwego Kossutha. Dziś mogą Węgry bez fałszowania jego wypowiedzi postępować jego śladem.

Jan Reychman.

#### JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

## Wizyta w Paryżu

Wiele przyczyn złożyło się na to, że wizyta literatów polskich w Paryżu wywołała pewien pomyślny efekt. Przyszła ona w odpowiednim momencie, była odpowiednio przygotowana, była dokładnie opracowana. Trzeba przyznać, po bardzo powierchowym zresztą kontakcie (co może na więcej zrobić w trzy tygodnie?), że stosunek Francji do Polski zmienił się zasadniczo. Zainteresowanie, dawniej zdawkowe, jest teraz pełne szczerej sympatii wzmogła się dzięki udziałowi Polaków w ruchu oporu i dzięki roli jaką w tym ruchu odegrali. Wreszcie Francuzi odczuwają wdzięczność za miłość do Francji jaką Polacy okazują w momencie, kiedy Francja potrzebuje podtrzymania wiary we własną wartość. Poza tym Polska jest jeszcze pokaznym rynkiem zbytu dla produktów kultury francuskiej, która traci nieco grunt pod nogami, a przeto chłonność tego rynku polskiego jeszcze jest czymś bardzo cennym dla obywateli z nad Sekwany. Gdy mówię, że Horzyca rozpoczął uroczyste sezon teatralny w Toruniu od „Szkoły Zor” a Walden w Jeleniej Górze od „Cyrylika Sewińskiego” moi rozmówcy mieli w oczach łzy wzruszenia.

Byliśmy — Nałkowska, Breza i ja — gośćmi rządu francuskiego zaproszeni przez t. zw. „Echanges Culturels” znajdujące się przy Wydziale Prawnym Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Na czele „Echanges” stoi znakomity biolog prof. Logié, który też na początku naszego pobytu w Paryżu był naszym bezpośrednim gospodarzem, dyktem i serdecznym. Pojechał z nami również do Paryża Adolf Rudnicki, ale to tylko według dowcipu „Nouvelles Litteraires”, żeby było jak w „Trzech Muszkieterach”, gdzie właściwie muszkieterów jest jak wiadomo czterech, chociaż mówi się o trzech. Nasz czwarty muszkieter z przyjeździe oficjalnych wybrał tylko te, które mu odpowiadały — co do innych zostawiając sobie swobodę. Zazdrościliśmy mu chwila mi tej nieoficjalności.

Zaraz na samym początku po przybyciu do Paryża (podróż trwała pięć dni — z trzydniowym postojem w Hamburgu) uderzyła nas atmosfera serdeczności i zainteresowania bardzo odmienna od tej, z jaką dawniej spotykałem się we Francji. Łatwość zawierania kontaktów, serdeczność z jaką nas pytano o Polskę i stan jej kultury, troska jaką okazywano z powodu jej zniszczeń — wszystko to miało akcent niepodrabianej szczerości. Zaraz na pierwszym śniadaniu, wydanym dla nas przez Echanges Culturels w słowach pełnych prostoty profesora Logié i sympatycznej poetki i dziennikarki pani Dury odbiły się te uczucia. Odpowiedział na nie ambasador Skrzyszewski, poświęcając część swej świetnej mowy wspomnieniu „ambasadora kultury francuskiej w Polsce” — Boya-Zeleńskiego, którego nazwisko często powracało na usta polskie i francuskie podczas tej naszej wizyty.

Tam też od razu zetknęliśmy się z redaktorami najpoczytniejszego dziś we Francji tygodnika francuskiego „Lettres Françaises” z wydawcami katolickiego „Esprit” i najpoważniejszego miesięcznika poetyckiego „Poésie 46”. Miałem też przyjemność widzenia przy stole Pawła Eluard znakomitego poety, który okazał się prostym, miłym i trochę nieśmiałym człowiekiem.

Poprzednio jeszcze byliśmy zaproszeni na konferencję prasową do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Przygotowaliśmy się do odpowiadania na pytania — tymczasem to Francuzi udzielali nam informacji o obecnym stanie Francji. Oczywiście — biorąc pod uwagę moment, kiedyśmy przy-

byli do Paryża — padło z ust naszych pytania dotyczące ustąpienia generała de Gaulle. Udzielono nam odpowiedzi, że ustąpienie to jest podyktowane sprawami wewnętrznymi i że na bieg francuskiej polityki zagranicznej nie będzie to miało żadnego wpływu. Mówiliśmy także o sprawach Zagłębia, Ruhry i Nadrenii, przy czym wyjaśniano nam francuski punkt widzenia w tej sprawie — umiędzynarodowienie tych części byłej Rzeszy — oraz o przyszłej konferencji pokojowej pierwszego maja w Paryżu, co do której to dąty wyrażono daleko idące wątpliwości.

Niewątpliwie najuroczystszym, najbardziej francuskim a i najbardziej wzruszającym momentem było przyjęcie urzędowe dla nas w „Societe des Gens de Lettres” we wspaniałej siedzibie tego stowarzyszenia pisarzy w pałacu, którego ogrody zlewają się z ogrodami obserwatorium astronomicznego. Powitani zostaliśmy tam serdecznie przez Prezesa Stowarzyszenia, członka akademii, pana Georges Lecomte oraz przez wiceprezeskę profesorową Emilową Berel, żonę wielkiego uczonego, znanego ze swych wizyt w Polsce. Byliśmy pewni, że przyjęcie to ograniczy się do towarzyskiej rozmowy przy herbacie, ściśle przy szampanie, — tymczasem urządzono nas przy olbrzymim, rzeczywiste dekoracyjnym stole i wygłoszono szereg mów utrzymanych w prawdziwie francuskim — akademickim stylu. Georges Lecomte przypomniał okrzyk „Vive la Pologne, messieurs!” rzucony w twarz Aleksandrowi II — podczas wystawy paryskiej, który to okrzyk był przestępstwem nie tylko przeciwko protokołowi dyplomatycznemu, ale i przeciw linii ogólnej polityki francuskiej. Przemawiał również generał Niessel — szef pierwszej misji wojskowej w Polsce po 1918 r., wygłaszając kilka zdań po polsku — a wreszcie przemówił młody pisarz Francis Ambrères, który jako robotnik, wywieziony z kraju przez Niemców pracował w Krakowie. Przemówienie Ambrères'a było bardzo wzruszające. Opowiedział nam, jak po raz pierwszy wyszedł na ulice Krakowa w towarzysztwie żołdaka niemieckiego, który szedł za nim z pistoletem w ręku. Wspominając te chwile Ambrères — mimo powagi tego towarzyskiego zebrania — rozplakał się serdecznie. To było naprawdę wzruszające i starczyło za najserdeczniejsze wyrazy.

Interesujące było także zebranie w Institut d'Etudes Slaves, pod przewodnictwem profesora Maroña, z udziałem ambasadora Garrault, który bawił w tych dniach w Paryżu. Spotkałem się na tym zebraniu, z tym samym zainteresowaniem Polską, jakie widziałem wszędzie, a oprócz tego z czysto naukowymi pytaniami, dotyczącymi stanu nauczania i sytuacji literackiej w Polsce, na które musiano udzielać obszernych w miarę możliwości ściślejszych odpowiedzi. Institut Slave uskarżał się także na brak informacji z Polski. Gazety czeskie, jugosłowiańskie i rosyjskie w obfitości leżały na stołach czytelników naukowej — gazet polskich brak zupełnie. W instytucie mieliśmy możliwość zetknięcia się z profesorami literatur słowiańskich Sorbony i College de France, jak również z uczonymi polskimi, przebywającymi w Paryżu, jak prof. L. Zaleski i Montfort.

Nie tylko jednakże stykaliśmy się ze społeczeństwem francuskim, jak na herbatce wydanej przez „Lettres Françaises” na obiedzie wydanym przez „Ce soir”, na całym szeregu wieczorów spędzonych w towarzystwie PEN-klubu francuskiego lub na rozmowach z Filipem Soupeault, Jean — Richardem Blochem, Aragonem i jego czarującą Elsą Triolet, Pawłem Eluard, Emmanuelem Mounier, Stanisławem Frunet i całym szeregiem również interesują-

cych pisarzy, którzy zadawali nam mnóstwo — czasami dość naiwnych pytań. Ale nawiązaliśmy także kontakty z polskim społeczeństwem w Paryżu. Przyjęcie wydane dla nas w redakcji Gazety Polekiej, rozmowy i przemówienia wygłoszone w Klubie Urzędników Ambasady, wieczór spędzony wśród studentów polskich, herbatki w Związku Muzyków i Związku Plastyków — były może najbardziej interesującymi, prawdziwymi kontaktami z Polakami w Paryżu. Ponadto Polski Czerwony Krzyż w Paryżu urządził nam wieczór autorski, na którym prozę odczytali Nałkowska, Breza i Rudnicki, zaś niżej podpisany wiersze. Wreszcie Stowarzyszenia Inteligencji Pracującej oraz Polska YMCA zorganizowały dla mnie odczyt po polsku p. t. „Mój rok w Polsce”, gdzie na ile przeżyć osobistych starałem się zobrazować wszystko, czego się dokonało w dziele odbudowy w ciągu ostatniego roku. Jeżeli dodamy do tego nasz odczyt zbiorowy po francusku i parokrotne przemawianie w radio, zobaczmy, iż nagadaliśmy się w Paryżu pod dostatkiem. Ja sam zabierałem głos na dłuższy czy krótszy przeciąg czasu — siemdemnaście razy. Jak na trzytygodniowy przeciąg czasu to chyba wystarczy.

Z kontaktów tych odniosłem wrażenie, że największą bolączką kolonii naszej w Paryżu jest szczupłość i wąskość informacji, jakie docierają z kraju. Jednogłośnie — i to nawet w dyrekcji doskonale prowadzonej Księgarni Polskiej — uskarżano się na brak książek i pism z kraju. Nie znają tam żadnych wydawnictw literackich krajowych, redaktor Lam w teście „Księgarni Polskiej” przy mnie rozpakował paczkę z pierwszymi numerami „Twórczości”, jakie do niego dotarły, a moich opowiadań o naszych pismach literackich, ich różnorodności, ilości i potężnych nakładach słuchano, jak bajki o żelaznym wilku — i u muzyków, i u artystów i u studentów. Niewielkie ilości numerów „Odrodzenia”, „Kuźnicy” czy „Życia Literackiego”, jakie zabrałem ze sobą były od razu rozchwytywane — i czytane z podziwem ze względu na poziom i obfitość treści, jak i ze względu na papier, który jest lepszy, niż w wydawnictwach paryskich. (Gazety paryskie wychodzą na jednej kartce — obfite w treść są tygodniki literackie, bardzo liczne). Niestety nie mam z sobą numerów „Twórczości”, którą zachwalam raz po raz, wszyscy się o nie rozpytują i chcieliby czytać. Pisma tego rodzaju i o tym poziomie nie ma teraz w Paryżu odkąd przestała wychodzić „Nouvelle Revue Française”. Wszyscy, zarówno Francuzi jak Polacy, zgadzają się na jedno, że najniezbędniejszą rzeczą jest w tej chwili zorganizowanie kolportażu pism i wydawnictw polskich we Francji.

Zainteresowanie sprawami polskimi jest naprawdę bardzo duże. Artykuły nasze ukazują się na pierwszych stronach pism i wszystko cośmy z sobą przynieśli już przetłumaczone na francuski znajduje od razu miejsce w tygodnikach i miesięcznikach, względnie jest zakontraktowane na wydawnictwa książkowe. Okazuje się, żeśmy przynieśli za mało materiału, nie spóźniewając się takiego sukcesu. Zastajemy w „Lettres Françaises” cztery olbrzymie, całokolumnowe reportaże z Polski (Stefana Priacel (dawny mój znajomy, syn wielkiej śpiewaczki Marii Freund, z którą spotykamy się w Paryżu z nieopisaną radością po tylu latach takich przeżyć). Reportaże te to doskonałe i ścisłe — z kilkoma małymi wyjątkami — informacje o Polsce współczesnej, nareszcie coś konkretnego o naszym życiu tutaj. Bo trzeba przyznać, że pomimo szeregowego zainteresowania, informacja o Polsce są często balałkowe, często fałszywe — a najczęściej brak ich zupełnie. Py-



tania zadawane zarówno przez Polaków jak i przez Francuzów są bardzo naiwne. Oto kilka z nich wybranych na chył i traf: „Czy w Polsce są koleje?” — „Czy kobieta może wyjść w Warszawie na ulicę w kapeluszu?” — „Co każą pisać teraz literatom?” — „Czy istnieją w Polsce szkoły wyższe?” — itd. td.

O zainteresowaniu nami świadczy łatwość kontaktów, jakie zawieramy z najwybitniejszymi pisarzami Francji współczesnej. Kto pamięta trudności pod tym względem z czasów przedwojennych, ten dopiero się orientuje, jaka zasadnicza zmiana nastąpiła pod tym względem. Na obrzymim przyjęciu, jakie wydała Ambasada z okazji naszego przyjazdu, zjawili się cały świat dyplomatyczny, polityczny, literacki i artystyczny Paryża. Z licznej rzeszy zaproszonych, którzy zwartym — dosłownie — tłumem zapełniły salony dawnego pałacu Talleyranda, wyłapywało się najświetniejszych ludzi, aby zaczepić ich choćby w krótkiej kilkuminutowej niezawziętej banalnej rozmowie. Miałem okazję zamienienia paru słów wtedy z Mauriac'em, Aragonem, Elzą Triolet, Vildrac'em, słynnym biografistą Balzaca, Marcellem Bouteron, autorem „Tolonu” Jean-Richard Blochem, redaktorami katolickich piśm „Esprit” i „Le temps present” i komunistycznych „Lettres francaises” z żoną autora pomnika Mickiewicza panią Bourdelle, z wnuczką wieszczki panią Marią Mickiewiczówną, ze znakomitym dziś dyrygentem Pawłem Kleckim — a z wspólnie reprezentowanego korpusu dyplomatycznego, z ambasadorem Bogomolowym z Duff Cooperem, z którym niestety rozmawiałem o jego książce o jego Talleyrandzie, co jak się okazało, jest tematem jego wszystkich rozmów z Polakami — a wreszcie z przemysłowym ambasadorem Jugosłowiańskim, który sam jest wybitnym poetą i który znalazł z Żofią Nałkowską mnóstwo wspólnych znajomych i przyjaciół w literackim świecie Jugosławii.

Na herbatce tej Mauriac wyraził życzenie pisarzy francuskich spotkania się z nami w bardziej intymnym gronie. Ambasada więc zorganizowała naprędce obiad, który się odbył w parę dni potem. Trzeba przyznać, że jak na zorganizowane w pośpiechu przyjęcie obiad ten zgromadził wyjątkowo grono osób. Oprócz Mauriaca z żoną — przepiękną poważną panią, jakby wyjętą z kart powieści męża — i synem, był na nim obecny Duhamel z żoną, Aragon z Elzą Triolet, minister spraw zagranicznych Bideault — który w wilię tego dnia przybył z Londynu z posiedzenia ONZ, z żoną, minister sprawiedliwości Tietgen z żoną, ambasador amerykański, generał Delattre de Tassigny z orderem „Virtuti Militari” na szyi, pralac Paccini, zastępca nuncjusza, mówiący jeszcze doskonale po polsku, przebywał bowiem wiele lat w Polsce — jednym słowem „intymny” obiad zgromadził wszystko co jest najlepszego pod względem towarzyskim w Paryżu. Niestety nasza Ambasada przestrzegła skrupulatnie prawideł rozsadzenia przy stole (patrz opowiadanie moje p. t. „Śniadanie u Teodora”), dzięki czemu znalazłem się na dwie godziny — jak się należało — przy boku mojego przyjaciela Adolfa Rudnickiego. Mieliśmy z nim ważną i interesującą rozmowę, ale myślę, że mogła się ona odbyć w Łodzi i nie potrzeba było dla niej aż tak wspaniałych dekoracji, tak niezwykłego towarzyswa i tak doskonałego obiadu.

Wyliczam tutaj te wszystkie przyjęcia — jak w dziele towarzyskim jakiegos anobijskiego pisma, aby dać pojęcie, jak szerokie kręgi zainteresowały się naszym przyjazdem i jak naprawdę wszyscy zainteresowali się nami. Oczywiście nie było to zainteresowanie naszymi skromnymi osobami lecz społeczeństwem, któryśmy mieli zaszczyt reprezentować. Do naszych pokoiw hotelowych cisnęli się dziennikarze francuscy i polscy, musieliśmy udzielać moc wywiadów prasowych i znosić raz po raz magnetyzowe bityski aparatów fotograficznych.

Jeden ze znajomych studentów spostrzegłszy czekających na nas dziennikarzy zawołał: „To do państwa nie można się dostać jak do cadyka...” Ale o wiele więcej niż tych dziennikarzy pukano do drzwi naszych pokoiw zabłąkanych i smętnych rodaków, aby się od nas dowiedzieć, „jak to tam w tej Polsce jest?” Słuchali godzinami z uśmiechem szczęścia i niedowierzania, często nieporadni i nie rozumiejący, często poważni i tragicznie agresywni; rozmowy te kończyły się czasem skonstatowaniem zupełnej niemożności porozumienia, często zupełną zmianą zapatrywań pytających, a często gęsto płaczem gorącym i rzewnym. Tragedia emigracji polskiej jest bowiem straszliwa.

Ale o tym może już innym razem.

Jarosław Iwaszkiewicz

STANISLAW STRUMPH WOJTKIEWICZ

## Panowie oficerowie...

Dramat na emigracji

1939  
I.  
W r. 1940 — gdzieś w listopadzie — wybrałem się do Rennes: trzeba było wreszcie kupić zapasową koszulę. Wyrwanie się z obozu Coetquidan nie było łatwe dla dowódcy kompanii. Pozostawiałem za sobą setki drobnych spraw. Czy mój zastępca należyte przygotuje tarczę dla strzelnicy? Czy nadejdą zapowiadane ćwiczebne karabiny maszynowe? Czy szef kompanii, sierżant Wasylita z Legii Cudzoziemskiej, nie upije się przed apelem? Czy nie zabiorą z kompanii instruktorów? Czy kucharze znów ukradną cukier? Czy Wasilencowicz nie namaluje w świetlicy — zamiast żądanej chaty polskiej — krowy z zadartym ogonem? Czy wszyscy wrócą z przepustek?

Przyjemnie było patrzeć, jak na wszystkich stokach wzgórz dookoła obozu — na tle wilgotnej zieleni bretońskiego krajobrazu — ćwiczyły się plutony i kompanie. Jak dziesiątki tysięcy nowych polskich żołnierzy z własnej, dobrej woli gotowały się do naprawienia kłeski wrześniowej.

W Rennes byłem po raz pierwszy. Uderzała liczba polskich oficerów w restauracjach i kawiarniach. Skąd się tu wzięli na własnych samochodach? Za co piją szampana? Przecież z trudem doczekałem się tej pierwszej, niewielkiej gaży, z której — po opłaceniu kasyna — nie wiele więcej da się kupić, niż parę koszul?

Postanowiłem zanocować, był więc czas — na zwiedzenie uroczego, starego miasteczka i na pierwsze spokojne spacerki z niepokojnymi myślami o moich najbliższych w Kraju. Wtedy to zaczął mnie Williame — angielski podoficer z brytyjskich oddziałów saperkich, które budowały pod Rennes bardzo wielkie i niezmiernie wygodne koszary. Niemcy nie mogli się ich nachwalić w rok później...

Williams czegoś chciał. Mówił źle nie tylko po francusku, ale i po angielsku, bo pochodził z przedmieść Londynu, a przy tym najwyraźniej przeholował przy próbowaniu bretońskiej jabłecznej wódki. W końcu jednak dogadaliśmy się: oto czuł się pokrzywdzony przez jakichś moich przyjaciół, a ja byłem proszony o naprawienie tej krzywdy. W imię zgody sojuszniczej poszedłem z Williamem kilka dziesiąt kroków dalej. Anglik zadzwonił. Drzwi nam otworzył niewysoki i tłusty stary pan w gaciach, w którym ze zdumieniem poznałem pułkownika, dowódcę polskiej stacji zbrojnej w Coetquidan. Z wnętrza dochodziła muzyka, a tuż za nią — jak na falach melodii — ukazały się dwie inne, dobrze znane postacie pułkownikowe w otoczeniu kilku gładzących piękności. Przypomniały mi się płót na Siemiradzkiego...

Pretensja brytyjskiego podoficera była ludzka. Dlaczego tak krzywdzą go przedstawiciele sojuszniczej armii polskiej? Dlaczego trzech polskich *friendów* wynajęło na całą noc, wyłącznie dla siebie, ten dom publiczny, w którym jest aż dwanaście *girls*? Czy to jest *fair*? Miałem wystąpić w charakterze arbitra...

Pułkownicy pośpiesznie zażegnali incydent, przyjmując do znacznej kompanii dziełnego saperka, nazajutrz zaś szef stacji zbrojnej zabiegł u mnie, abym w tej sprawie nie składał *meldunku*.

Wiele razy później wydawało mi się, że moi starsi koledzy — oficerowie zachowują się we Francji nie jak Polacy po klesce, ale jak dzikusy po zwycięskim zdobyciu nowego kraju...

### II.

Grzechy korpusu oficerskiego na emigracji są ogromne. Nie wszyscy, oczywiście, prowadzili życie hulaszce, nie wszyscy popełniali nadużycia służbowe, ludzkie, czy kryminalne. Ale obrzymia większość pokrywała zło milczeniem. Kasta solidarnie dyktowała pułkownikom i generałom na terenie brytyjskim zatajanie i bezkarność nawet wypadków zwykłej kradzieży. Setki różnych dochodzeń utknęło w oficerskim trybunale w Szkocji.

Była sprawa — ukarania pułkownika, który przedstawił i zrealizował fałszywe rachunki na kilkaset funtów — łacodnym wyrokiem za nieprawdziwy *meldunek*. Potem oficer ten awansował. Pod płaszczykiem ochrony dobrego imienia polskiego za granicą, w imię rzekomej konieczności zaciekania na koniec wojny — tolerowano na wysokich stanowiskach dowódców i wychowawców do których żołnierz czuł Instynktowną, a często — aż nadto umotywowaną — pogardę

Dlatego emigracja nie stworzyła ideologii społecznej. Kasta zabija wszelkie możliwości. Pozostały wyłącznie węzły koleżeństwa broni w jednostkach, które walczyły z właściwą Polakom brawurą. Ale bitewne koleżeństwo nie wystarcza.

— Nasi oficerowie? Owszem, przez całą kampanię byliśmy dumni z nich! Ale cóż, kiedy w Niemczech zaraz zaczęli tańczyć i jeździć samochodami z niemieckimi pannami... — powiedział kapral z dywizji pancerniej, spotkany w Londynie w jesieni r. 1945. Mówił przy kolegach, z którymi razem spędzał urlop — zaprzeczeń nie słyszałem; przeciwnie!

Kastowość, która przyswaja sobie przywileje i uprawnienia specjalne, zamiast poczucia zwiększonej odpowiedzialności i społecznej obowiązkowości, staje się przekleństwem narodowym.

### III.

W tłumie żołnierzy i cywilnych uchodźców który przewalał się nieskończoną rzeką przez Brześć nad Bugiem we wrześniu r. 1939, wyłowilem kaprala — podchorążego, szukającego stacji zbrojnej. Jak się okazało, był on świadkiem przekroczenia przez Niemców Wsiły pod Garwołem. Ponieważ sztab jeszcze nic nie wiedział o tym ponurym fakcie, więc zaprowadziłem kaprala do odpowiedniego wyższego oficera. W konsekwencji pułkowników zaczął młotać na kaprala obelgi i zagroził mu rozstrzelaniem za śmiecie paniki. Tymczasem było jasne, że żołnierz mówi prawdę, a oficer po prostu boi się jej. Wbrew pułkownikowi — kandydata pod murek zwolniłem. W trzy godziny później sztab uciekał z Brześcia w takiej samej gorączce jaka towarzyszyła indagacji kaprala.

Pełne popłochu szepty w kątach, drzące ręce, wypłeki na twarzach — aż nadto często raziły obserwatora stosunków sztabowych w r. 1939. Widok rogatywki sztabowej drażnił tak boleśnie, że później — na emigracji — z wielkim trudem przyszło ponownie przyzwyczajenie się do niej, pożegnania urazu „czapkowego”.

W Rumuni grożono ogłoszeniem za dezertera każdego, wyjeżdżającego do Francji. We Francji panozyła się posepna niegodziwość przy zabiegach i staraniach o przydziały i tak wielka rozpusta, że Sikorski kilkakrotnie gromił oficerów w speckalnych rozkazach. Wiele wyższych oficerów odwołało się potajemnie do odpowiednich (wywiadowczych, lotniczych...) władz niemieckich w sprawie sprowadzenia swoich żon z Polski. Żony przyjeżdżały. Podczas ewakuacji z Francji do Anglii kilku wyższych oficerów opuściło swe oddziały, śpiesząc z walizkami i pieniędzmi w samochodach do portów. Szeregowych doprowadzali do portów i zbierali na gościach oficerowie najmłodszy albo rezerwiści. Później we wszystkich wypadkach w których postawiono zarzuty starszym oficerom, represje skierowano przeciwko skarżącym się, albo oskarżającym — zwykle traktując ich, jako naruszających dyscyplinę. Starozyna była tak solidarna ze sobą, że jakkolwiek *meldunek* oparty faktami i świadectwami, obracał się ostrym przeciwko „buntownikowi” i świadkom. Droga „służbowa” była w ogóle fikcją.

Wgłosiłem w Szkocji kilkadziesiąt odczytów o możliwości przetrwania przez Anglię trudnych czasów i o tym, że pomimo kłeski francuskiej jest możliwość wypracowania wspólnymi siłami zwycięstwa ostatecznego. Jednocześnie prowadziłem akcje oświatową. To wszystko znalazło następującą ocenę w ustach generała L.:

— Uprzedzono mnie, że pan porucznik prowadzi niebezpieczną robotę i jest wrogiem dyscypliny. Tymczasem ja widzę, że te odczyty, kursy i rozrywki, które pan porucznik tu zorganizował, wcale dyscyplinie nie przeszkadzają. Przeciwnie, może nawet są pomocne, bo ludziom miła *zła krew*... Tylko, panie poruczniku, ja się panu dziwię, że panu się chce — tak ciągle — perfumować gównem...

Zaręczony w ten sposób przez typowego przedstawiciela dawnej armii do pracy, dziś zwanej polityczno-wychowawczą, miałem swój rewanz kiedy na uroczystości nadania gen. Sikorskiemu doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu w St. Andrews, generał L. zbliżył się do mnie i powiedział: *Wskazując nieraz rzedz widzą zapelnione polska generalicja:*

— No teraz to już pan porucznik nie będzie mógł twierdzić, że nie *byliśmy* na uniwersytecie... Jesteśmy przecież

Doprawdy, wcale nie jestem pewien, czy był to żart...

Bardzo niewielki ułamek wyższych oficerów posiadał wykształcenie ogólne, uderzała ich apatyczność i dziecięcość w sprawach już nie tylko ideowych, ale nawet w zakresie ściśle wojskowym i wojennym, czy też politycznym.

I tak — na przykład — pamiętam wyższych oficerów, którzy w r. 1941 namiętnie bronili Laval'a, podziwiając jego cnoty i mądrość, a jednocześnie dowodząc, że Polacy nie mają już racji — walczyć z Hitlerem. Przynajmniej z dziesięć razy rozchodziła się na emigracji plotka o powstaniu w Warszawie posłusznego rządowi polskiego posłusznego Berlinowi. W szeregach takich plotek wyrażało się *pium desiderium*...

Kasta nie chciała zrobić porządku sama ze sobą, z Sikorskim walczyła, oświatyła wojskowej nie rozumiała, a wciąż zdradzała skłonności do tego podziwu wobec Niemców. Kasta była więc w zupełnym rozdzwieku z narodem.

W bojach wrześniowych i później szeregi zdążyły chlubić egzamin poświęcenia i wytrwania, ale sztaby okazały się moralnie słabe. Kastowość dawniejszego korpusu oficerskiego, nie zahartowała jego członków, przyzwyczaiła ich natomiast do łatwego życia i sukcesów — pomiędzy kancelariami sztabów, a stolikami *bridge'owymi* w kasynach.

Przy okazji — większość oficerów emigracyjnych nie nauczyła się nawet obcych języków. Cały wolny czas zajmowały im karty. Dobrych szachistów prawie nie było. Od generała, uważanego za mistrza w tej wspaniałej grze, bez trudu wygrywałem za każdym razem jego żołnierzy, dziennikarzy lub literatów, których potrzebowałem w kwaterze prasowej, a których inaczej nie sposób było uzyskać. Z mojej strony stawką była kolacja, ale nie pamiętam, żebym kiedyś płacił za generała, albo przegrał potrzebnego mi „*gemajna*”.

### IV.

Stosunek polskiego emigracyjnego oficerstwa do szeregowych był oburzający. Żołnierze byli wciąż „materiałem ludzkim”. W krytycznych chwilach Anglicy ratowali ludzi, poświęcając broń i zaopatrzenie, jak na przykład pod Dunkierką. Jest to o wiele demokratyczniejsze, niż doprowadzona u nas do hysterii miłość kabinu albo plecaka, z wyraźną szkodą dla człowieka. „Materiałem” nie gospodarowano troskliwie. Klasyczny był wypadek rozdziału słodyczy w jednym z oddziałów gen. Andersa w Rosji w 1942 r. Nadesłane przez intendenturę radziecką ilości cukierków podzielono z nadzwyczajną sumiennością na dwie idealnie równe połowy: jedną dla oficerów, drugą — dla szeregowych. W Wielkiej Brytanii nie wyplacano szeregowym tych wszystkich sum które im były należne i które napływały od Anglików. Z takich „oszczędności” utworzone były następnie różne fundusze propagandowe i dyspozycyjne, z nich „przyznawali” sobie wyżsi oficerowie załóżki i pożyczki — długoterminowe i bezzwrotne. A wielu przeczonych wyższych oficerów polskich, znakomicie uposażonych, poszukiwało szeregowych lub młodszych oficerów, którzy by chcieli rejentalnie sprzedać place lub domy w Polsce. Sporo takich aktów zawarto w Anglii — traktuję je, jako zwykły wyzysk, nie licząc w żadnym razie z tymi wysokimi hasłami etycznymi, w imię których kasta woła bronić swych pozycji.

Surowość wobec szeregowych była niezwykle bezwzględna. Pewien żołnierz w Szkocji wypijał ogromne ilości wody, a puste butelki stawał pod swoje łóżko. Upomnienia nie pomagały — chłopak przez całą noc miał pragnienie. Zamiast do lekarzy — trafił do aresztu, w którym zmarł po kilku dniach na jakąś poważną chorobę. W armii Andersa w Rosji sąd polowy zaczął funkcjonować od rozstrzelania dwu młodych żołnierzy, którzy usiłowali dokonać wiamania i przyznali się do tego sami na wezwanie w rozkazie garnizonowym. Jeden z nich na egzekucji zawołał: „Niech żyje Polska”. Byłoby to dobry żołnierz, zasługujący na inną karę, a jeśli na śmierć, to raczej wobec wroga na polu walki. Sprawa tego wyroku była o tyle przykra, że poprzedzili go romantyczne wynurzenia młodych oficerów, zasiadających w sądzie: „generał kazał nam głosić za karą śmierci...” A więc — naciek na siedziwo...







ARAGON

przełożył JAN KOTT

# Młodzi ludzie

(Dokończenie)

Na samym dniu katastrofy kobieta wznosiła dziękczynną modlitwę do Boga. W ogromie powszechnego nieszczęścia mogła sobie przynajmniej powiedzieć, że jej syn, jej młody chłopak, Guy, przeszedł przez to wszystko, nie będąc zmuszony do zabijania. Dla niej, wlerzącej, przykaszanie boskie: *Nie zabijaj*, nie dopuszczają wyjątków.

Wszystko aż do gruntu zostało przewrócone w tym poniżonym kraju, nic nie zostało na swoim miejscu. Nawet niebo straciło swoje barwy. Fabryka likierów, piękny dom o połyskujących meblach, park wspaniale gracowany, wszystko to nagle zostało zalane przez tłum blady i przerażony. Przez kilka dni rozdawano u bramy jedzenie, prowadzono kuchnię. Potem niezrozumiale odpiwano wojek... Guy mówił, że to jest hańba; ale nazajutrz cała rodzina ruszyła z kolei w drogę w stronę Charentes, gdzie żył kuzynowie Fabryka, park i opuszczony dom widziały wjazd wozów nieprzyjacielskich i szarych żołnierzy w wieżyczkach...

Kiedy przybyli do Charentes, zmęczeni ucieczką, tym razem pozwolili się zagarnąć. Wojna była skończona. Złamany głos Marszałka... Kuzyni mówili, że zło może się jeszcze obrócić na dobre. Zresztą dla nich niebo było zawsze tak samo niebieskie: ludzie mają zawsze skłonność do przeceniania przejściowych nieszczęść. Czyż mała wioska, leżąca obok posiadłości kuzynów, którzy produkowali koniak, nie była mimo wszystko szczęśliwa?

Może była w tym także ukryta chęć pozbycia się krewniaków z Północy, którzy zawadzali nieco, trzeba to sobie powiedzieć, w tym pięknym i spokojnym domostwie. W końcu kuzyni z Charentes zaczęli coraz częściej powtarzać, że ruszyło życie gospodarze. Mieli bez wątpienia rację: trzeba było na nowo otworzyć fabrykę.

Odnaleziono spłądowany dom, gotyckie napisy przyblite w parku do drzew. Ojciec Guy'a z początku przestrzegał nabóżnie nowych rozporządzeń Legion, Pomoc Narodowa, Karta Pracy... Guy powtarzał, co mówił jego ojciec: nieszczęściem była ta cała polityka. To polityka nas do tego doprowadziła... Kiedy Marszałek oskarżał polityków, ludzie początkowo przyznawali mu rację. Lecz patrzcie: cóż działa się wokół niego, czym zajmowano się w Vichy? polityka, brudną polityką.

Jak Marcel w 1939, Guy z kolei przechodził przez okres wątpliwości. Od czego się to zaczęło? To było bardzo zagmatwane. Sądził się błędnie, że zawsze otwierają się oczy z wyraźnych powodów. Guy tak długo, jak mógł, za wszystko, co mu się nie podobało w Vichy, oskarżał otoczenie, a nie samego Marszałka. A nie podobało mu się w Vichy nie koniecznie to, co było tam najgorsze: Odrza raczej niż rozmowa nie. W zamęcie 40 roku Guy tak jak i jego ojciec, wierzył w Marszałka o białych włosach, jasnych oczach i głosie dziadka. Słyszał jak wypowiada słowa, które były istotą jego wiary... To nie jest tylko opowiadanie o jednym Guy'u. Zawsze, mówiono mu, marzenie odbiega od rzeczywistości. Jemu jednak nie wystarczyło to wyjaśnienie, upierał się przy swojej Francji, przy jej heroldycznym obrazie, jak zeszłego roku Marcel przy swoim marzeniu o braterstwie wszystkich ludzi. Pogląd pogłębiała się przepaść między nim a jego otoczeniem. Lękał się tego, co może myśleć jego matka. Ach, gdyby tutaj był Gerard. Przez wiele miesięcy nie było o nim żadnych wiadomości; potem kartka do połowy zadrukowana, przyniosła z Pomorza stereotypowe słowa, nie zostawiające miejsca dla pytań.

Listy, które później przysły ze Stalagu, pisane otórkami, nie wiele mogły wyjaśnić, co myśli Gerard. Wszystkie pytania, które Guy chciał jemu postawić... W końcu 42. list nieco bardziej wyraźny mówił, o nieudanej ucieczce, o obozie karnym. Potem cisza.

Jak Marcel w 1939, Guy przechodził przez piekło wątpliwości. Był znacznie gorzej uzbrojony, aby się bronić. Niewiele wiedział o życiu. Słowa miały nad nim więcej władzy. Słowa tak wielkie, tak szlachetne... Kiedy jego ojciec pomagać zaczął robotnikom w chronieniu się przed wyjazdem na roboty do Rzeszy, Guy uczył, że mu wielki ciężar spada z piersi, był dumny. Dowiedział się o tym zresztą dopiero znacznie później, kiedy wbrew zakazom przyjechał odwiedzić swoich, przekraczając nielegalnie linię demarkacyjną (jeszcze jedna z gier harcerskich...).

Od roku bowiem przebywał w strefie południowej, gdzie załagał się do Hufców Pracy. Musiał zwalczyć w sobie wiele skrupułów. Nauczył się przyjmować tylko część z tego, co im podawano. Trzeba było milczeć i zgadzać się i wysłuchiwać wiele rzeczy, które były częścią wielkiej i narzuconej konspiracji, w którą, wierzone, cały kraj wszedł... W jego marzeniu, starym harcerskim marzeniu, kłamstwo nie było nigdy potrzebne. Trudno było zgodzić się na kłamstwo: wydawało mu się, że łatwiej byłoby zabić, nawet bez brzońskiego...

Pomiędzy dwiema strefami była zadziwiająca różnica temperatury.

Gdyby Guy nie pojechał odwiedzić rodziny, możliwe, że w strefie południowej pewne rzeczy pozostałyby dla niego nadal niejasne. W strefie południowej każdy zachowywał milczenie, nie dowierzano sąsiadom. Od linii demarkacyjnej, a nawet na krótko przed jej przekroczeniem, zaczynała się powszechna zмова, ludzie wymieniali między sobą znaczące spojrzenia, kiedy gromady wędrowców wszelkiego rodzaju, aż za łatwo dających się przejrzeć, znikają raz z razem w stronę przejść będących tajemnicą Poliszynela. W strefie północnej zaczynał się inny kraj z buntem we krwi, ze słowami wyzwania na ustach.

Nawet matka powiedziała do Guy'a: „Przydałoby się wam, abyście tak jak my, poznali Szwabów, to by się wam przydało...”

Ale kiedy znowu wrócił w przedłużone dzieciństwo, do swoich Hufców Pracy, dał sobie powodów jak przedtem, jak dawniej... Wręczenie sztandaru było uroczystością, która go zawsze do tego stopnia wzruszała, że łyzy mu stawały w oczach... Dlaczego paru z jego kolegów rzuciło wtedy słowa nieprzyzwoite, oburzające? Nie dyskutować. Nie słuchać...

Rzadkie wiadomości, jakie dostawał od swoich kuzynów z Charentes, wprawiały go w zły humor; ludzie ci nie potrafili już nawet napisać naturalnego listu, można by pomyśleć, że czyta się gazety partyjskie... Zadziwiająca jest ta mania powtarzania tego, co się drukuje i wiecznego agitowania. Zresztą na próżno: Guy mógł głęboko i szczerze przejmować się zabawami w Indian, ale nie miał najmniejszej ochoty odmówić sobie nogi nad Berezyną, jak mu to radzono w słowach nieco mniej brutalnych...

Rzadkie wiadomości, jakie dostawał od swoich kuzynów z Charentes, wprawiały go w zły humor; ludzie ci nie potrafili już nawet napisać naturalnego listu, można by pomyśleć, że czyta się gazety partyjskie... Zadziwiająca jest ta mania powtarzania tego, co się drukuje i wiecznego agitowania. Zresztą na próżno: Guy mógł głęboko i szczerze przejmować się zabawami w Indian, ale nie miał najmniejszej ochoty odmówić sobie nogi nad Berezyną, jak mu to radzono w słowach nieco mniej brutalnych...

Jednego wieczoru... Miał swój obóz koło Châteauroux, w dolinie pełnej janowców, z włączoną rzeką, przez którą na przestrzeni wielu kilometrów nie można było przejść, ponieważ jedyny most, mały śmieszny mostek, wysadzony został w czerwcu 40, kiedy to nieprzyjacieli przekraczała Loarę bez przeszkód. Było to o dwa kroki od linii demarkacyjnej. Jednego wieczoru usłyszeli strzały. Sąsiedzi Guy'a podskoczyli na posłaniu, spano w baraku na pięciopiętrowych pryzkach, i schylił się: — Słyszalesz?

Szczeły psy *Feldgendarmie*, poło wano widocznie na człowieka po tamtej stronie wody, na mokradłach. Jakies głosy krzyknęły w ciemności:

— Co się tam dzieje? Nie można spać... Potem zapadła cisza; psy w oddali szczeły i długo Guy nasłuchiwał w ciemnościach.

Rano, kiedy szli, do połowy nago, w zjełonych spodenkach, z beretem na uchu, śpiewając pieśni starofrancuskie, do miejsca w lesie, gdzie zaczęły być wyręb, minęli żandarmów z placówki w swoich piaskowych mundurach. Żandarmi wiedli ze sobą jakiegoś młodego człowieka. Je-

den z nich przywiązał go do siebie za rękę. Był to młody człowiek, ślaniający się ze zmęczenia, drugą rękę miał na temblaku, widać było, jak krew przesiąka przez bandaż. Chłopcy zamilkli, patrzyli. W przejściu Guy poznał Gerarda, Krzyknął Gerard... Gerard ranny, wychudzony, słaby. Nie dano mu się zbliżyć. Żandarmi odmawiali wszelkich wyjaśnień. Przez twarz Gerarda przeszedł jakby daleki uśmiech. Nie wyglądało na to, że poznał Guy'a. Z bliska zresztą mniej był do siebie podobny, coś nie dającego się określić brakowało w jego twarzy tak, że nie można było być zupełnie pewnym, że to Gerard. Był to jednak Gerard. To jego musieli Szwabi upolować tej nocy jak zwierzę, a teraz żandarmi, żandarmi francuscy go prowadzili... Zbieg, co robisz zbieg... Kulgi krzychały na niskich wodach.

Guy nie miał już nigdy zobaczyć Gerarda. Czasami sam siebie pytał, czy nie stał się ofiarą okrutnego złudzenia: czy to naprawdę był Gerard? Klął rękę pod koszulę i dotykał blizny po dawnej operacji: jakby chciał się upewnić o rzeczywistości tego życia, o jego ciągłości... Czy to naprawdę był Gerard?

W P... wszystko przeszło bardzo łagodnie. W czerwcu 40, Elgiusz pobiegł w stronę cmentarza, kiedy zapowiadano Niemców. Kompania wojska lub coś koło tego, dobrze ubrani, wycieczki, inaczej wyglądali od uciekinierów, którzy przechodzili przed nimi. Ludzie drżeli. Elgiusz wzruszał ramionami. Nie trzeba być głupcem... Chciał, aby żołnierze kwatrowali w P... Ale przeszli jedynie przez wieś, kierując się ku Walencji. Główne sily maszerowały niżej, szosa. Przygoda nadejść miała jeszcze nie tym razem.

To właśnie było P... nawet Niemcy nie chcieli mieć tu garnizonu. Elgiusz był im wdzięczny, że przestrzaszyli jego współziomków. Brał w ten sposób odwet. Chwytał w locie papiersy, które mu rzucali żołnierze. Potem wierzone, że przyjdą jakieś zmiany... Pomyśleć... P... jest najbardziej zapadła dziura w całej Francji. Nic się tu nie wydarzyło, ale to zupełnie nic. Wszystko pozostało jak przedtem. I tak dostatecznie dużo zadano sobie ceremonii, aby znaleźć miejsce mera na miejsce dawnego. Mówiąc między nami nowy mer nie był lepszy. Ludzie nic nie mówili, ale wiedzieli swoje. Piękne afiszę rządu Vichy przyklejano zawsze tak wysoko, że nikt nie mógł ich widzieć. Albo do góry nogami.

Ach, gdyby Elgiusz tylko mógł... Cały poruszony był przez nowe idee, pożerał dzienniki, słuchał radia, które ojciec, wściekły, stale przerywał... Stary zdziały pocziwiec... Gdzieś indziej można było zapisać się do jednego z tych nowych ruchów, gdzie młody człowiek bardzo szybko może dojść do niewiedomości czego. Ale w P... Ludzie z niego kpili. Zaczęli im wtedy grozić. Śmiali się. Jednak, jednak... kiedy żandarmia dostała donos przeciwko oberżycie za nielegalny handel, bardzo byli żandarmi zakłopotani. Ale sporządzili protokół. Na człowieka, który im stawiał...

Osamotnienie Elgiusza w P... w wyniku tego wszystkiego jeszcze wzrosło. Niecierpiał chłopców w swoim wieku, unikał dziewcząt. Dręczony stale przez swoje marzenia, uciekał z nich tylko po to, aby rzucić ludziom parę aroganckich zdań, jakieś twierdzenia wyrwane z dzienników, które u wszystkich wzbudziły ku niemu serdeczną nienawiść. Pastuchy widząc go na pagórkach, rzucali w niego często kamieniami lub też puszczały psy.

Jedynie pośród drwali znalazł coś w rodzaju gościny. Było między nimi wielu zbitych Lotaryńczyków, mało skłonnych do rozmowy, ich milczenie odpowiadało jego humorowi. Patrzył na nich jak pracują. Najchętniej spędzał czas na przyglądaniu się jak inni pracują. Wyobrażał sobie, że rozkazuje tym tegim chwatom, którzy zlewali się potem przy ścinaniu drzew. To mu polebiało. A potem, kiedy rozmawiali między sobą, brzmiało to jak niemiecki. Było pomiędzy nimi również dwóch czy trzech Włochów: jak gdyby cząstka władzy okupacyjnej. Chciał, w rzeczywistości, byli to emigranci, służący przedtem w armii francuskiej, jak ów Martini, śmieszny rudzielec, co to kawałek żółtej i zielonej tapety nosił zamiast szalika.

Elgiusz powinien był pomagać rodzinie, wrywać marchew, pielić na podwórzu, kopać w ogrodzie. Uciekał na pagórki. Ojciec jego był za stary, nie mógł go bić; siostra, kpił z niej w żywe oczy. Prace na polu uważał za niegodne siebie. Nic sobie nie robił, że go nazywano próżniakiem. Najważniejsze, aby go nie wyrwano z jego marzeń. Zresztą, kiedy jego lenistwo było już zbyt widoczne, zaczął kłamać: naprzód twierdził, że pomaga temu lub owemu, a potem, kiedy go złapano na oczywistej nieprawdzie, wymyślał sobie zaczął jakieś tajemnicze zajęcia. Thumaczenie to uznał za wygodne, powtórzył je, przyzwyczaił się do niego, w ten sposób zaczęła się legenda rodzinna.

Elgiusz chciał, aby się go bano. Podobno mu się u Niemców, że tak postępują, aby się ich bano. Kiedy opowiadał sobie, co zrobili tu lub tam, ludzie załamywali ręce z przerażeniem, ale Elgiusz pochwałał z całego serca. Strzepił sobie język najbardziej straszliwymi opowiadaniem. Wszystko za mało dla tego narodu idiotów. Ale najbardziej szło mu o to, aby być ważnym. Od czasu do czasu ruszał w niewielką tajemniczą podróż do Walencji, może jeszcze dalej i wracał z zadowoloną miną. Ludzie, mimo jego starań, nie zwracali na to uwagi. Nawet wtedy, kiedy zaczął opowiadać, że jest z Policji. Znano go, tak jego kłamstwa jak i manie, aby przypinać sobie wszelkiego rodzaju odznaki... Możecie je sobie także kupić na straganie... On nawet nie wie, jakim szmelcem się obwieśza... A te listy, jakie dostaje pocztą, zauważyliście pewno, co to on za sposobów nie używa aby je móc tylko przy was wyjąć z kieszonki? Listy z Walencji, widać że stempli. Podtyka je pod nos. Zawsze przychodzi z Walencji. Twierdzi, że ma tam jakieś wielkie stosunki, udaje tajemniczego. Chcecie może wiedzieć, co to są za stosunki? Mówiła mi to jego siostra, urzędniczka na poczcie: po prostu sam pisze te listy do siebie a potem wrzuca do skrzynki w Walencji, szuka!

Ach, stąd są te małe podróże! Marcel wydosłał się po raz drugi. Tym razem z więzienia francuskiego. Ze strasznego więzienia w Saint-Etienne. Po szczęściu miesiącach głodu, duszenia się, nocy, grozy. Było to dokładnie w chwili, kiedy Szwabom mało już było ich kawałka Francji, chcieli mieć cały kraj. Wtedy u młodych ludzi, skłonnych do marzeń, marzeń tak bardzo różnych u obu, coś się przełamało, marzenia przestały rozdzielać się od życia. Przedmiotem ich marzeń stało się samo życie, mieszkało się z nim i odtąd Guy już nie tak bardzo różnił się od Marcela. Odnajdywał swoje marzenia w codziennych drobiazgach, rozumiał, że do wielkich rzeczy dochodzić się trzęsząc o małe, wykonując zadania proste, wulgarne. Wszystko stało się dla niego przystępne. Trzeba było być zuchwałym, aby oddychać. Skauci i robotnicy zaczęli być podobni do siebie, zaczęli się rozumieć. Oczywiście nie mówili tym samym językiem. Ale rozumieli się, kiedy szło o słowa istotne. Możliwe, że przedstawiały nie zupełnie tę samą rzecz dla jednych i drugich, często zdarza się taka pomyłka w rozmowach. Ważne było że choćby nawet niezręcznie, ale posługiwano się tymi samymi słowami i w tym samym celu.

Jest to wielka chwila w życiu każdego narodu, kiedy wszyscy, lub przynajmniej prawie wszyscy, starają się używać słów w ich prawdziwym znaczeniu; i jest chwila w tym życiu straszną, kiedy na nowo, nawet ci, którzy zaprzestali to robić, zaczynają igrzać ze słowami...

W tych czasach nie 'grano. W końcu Marcel i Guy się spotkali. Och! to nie było żadne wielkie wydarzenie... Marcel nie miał innego wyjścia, jak pójść do partyzantki. Co do Guy'a może wierzyć, że jest to jeszcze ciągle wielka gra harcerska, ale w końcu mógł zrobić inaczej, ojciec mu proponował... Uparł się. Byli więc obaj razem w pustej chałupie, której połowa nie miała już dachu. Gdzieś tam w stronie Bourdeaux. Pejzaż jałowych i stromych dołn, kraj surowy z wieżami w ruinach, naznaczone jeszcze dotąd przez pasje religijne, dla których wyrzynano się dwieście lat temu.

— Dwieście lat, powiedział Marcel, to nie tak dawno...

Guy nic nie powiedział. Nie był protestantem, ale myślał, że jeszcze cztery lata temu Marcel musiał być wściekłym antyklerykałem. Guy umiał rozpalic ogień na silnym wietrze i znał jeszcze trzy czy cztery harcerskie sztuczki w tym rodzaju.



ale Marcel, ten potrafił wszystko. Morowiec jakich mało. Trzeba było stołu czy ławki, naprawić porzucony piecyk, czy złożyć elektryczność...

Jednego tylko nie chciał nigdy zrobić: zabić cielę lub barana, nawet zarządcę królika. Guy także nie umiał się do tego zabrać, na szczęście byli z nimi młodzi chłopcy, dla których były to zajęcia zwykłe, nie robiące wrażeń. Kiedy żyje się tak, jak oni, wśród natury, trzeba sobie dawać radę i wszystko robić samemu. Mus to mus.

Kiedy po raz pierwszy wysadzali tory, wydało się im to śmieszne. Zwłaszcza Guy'owi. Niszczą... Marcel nie potrafił tak rozmawiać: — „Co się psuje, można naprawić, wtedy...”

Oto: dla Guy'a tworzenie wszystkich rzeczy, jakie niszczyli, mostu filaru były odkryte tajemnicą, nie był pewien, czy kiedyś będzie w tym uczestniczył?

— Popatrz, powiedział Marcel, jak zakładasz plastik.

Plastik był miękką masą, jak niewinny wosk, żółty prawie biały. Zeszłej nocy dostali go sporo w zrzutkach. Gorzej obsłużeni od tych, którzy byli w F. M., tworzyli grupę z ośmiu, jedenastu razem z tymi, którzy siedzieli po wsiach.

Bourdeaux leży głęboko na południe od P... w departamencie la Drome. Ze wszystkich stron były takie same niewielkie oddziały. Wielu z nich uwierzyło Anglikom na słowo, czy też w końcu w ich radio, i chwyciło za broń. Dla tych zima była szczególnie ciężka. A poza tym najbardziej demoralizowało, że nie wszyscy się ze sobą zgadzali: byli różnego rodzaju organizacje, trafiał się watażkowie, którzy chcieli zapewnić sobie niezależność, istniała rywalizacja co do broni... zdarzały się odstępstwa.

Ale ci, którzy zostali, zdając sobie sprawę co robią, jak Guy albo Marcel, wiedzieli dobrze, że trzeba wziąć długi oddech...

Mieli dość czasu, aby się poznać, mówić ze sobą, nauczyć się wzajemnie szanować. Guy chętnie słuchał opowiadań Marcela o więzieniu. Drażniło go jednak, że ten mówi o polityce.

— Po co w to wszystko mieszać politykę? — mówił.

Marcel niecierpliwie wzruszał ramionami. Ich słownik nie był zupełnie ten sam.

Eligiusz, ten nie lękał się polityki. Chętnie by ją robił, wszystko jedno dla Republiki czy dla Króla Pruskiego, byle tylko mógł się wygadać, byle mu klaskano... Ale w P... pomyślcie tylko w P..., nic nie jest warte zachodu w tej przeklętej dziurze.

Nie można jednak powiedzieć, aby w P... nic się nie działo. Od pewnego czasu były jakieś tajemne spotkania. Wedrowcy. Twarze, których nigdy nie widziano. Jacyś obcy ludzie zamieszkałi w małym domku nad cmentarzem mówiono, że to Żydzi. Młodzież znikła. Kiedy raz Eligiusz dowodził, że nie rozumie strachu przed wyjazdem do Niemiec, zawsze będzie tam wesołej, niż w P... dostał porządnie kijem od tego drwala woskiego, który nosił szalik z tapety. I na cóż czekał Eligiusz, aby wyjechać do Niemiec, skoro go tak dręczyło? Bez wątpienia, bez wątpienia, nieszczęście było w tym, że dla Anglików czy dla Szwabów nie chciał wstawać wcześniej, męczył się, pracował.

W sąsiedztwie osiedlił się oddział partyzancki. W wielkim pustym domu ojca Rapin, w stronę S. Przy małej drodze której już nie utrzymywano, poniżej Wieży. Piękna wspaniała partyzantka. Nie taka jak małe oddziały Guy'a i Marcela. Niemal partyzantka legalna. Mówiono, że to Młodzież Marszałka, i mierzano okiem. Dowódcy chodzili po prowiant do wsi, placili słone ceny. Znalazł się nawet między nimi malarz, który udekorował im jadalnię freskami. Była to partyzantka, która nie przeszła do akcji. Nie w niej nie brakowało. Nawet broń, której dotąd nie używano. Trwało to trzy czy cztery miesiące. Młodzież w P... o niczym innym nie mówiła. Szepetano, że mają partyzanci wspólników w samej prefekturze. Pokazywano sobie wysokiego chłopca w okularach z nagimi kolanami: to syn prezesa Izby Handlowej. Samochody przejeżdżały w kierunku Wieży w S..., skąd widać było cały obóz. Panowie o wyglądach oficerów w cywilu... Eligiusz włóczył się tam często. To był jego zawód czyż nie musiał wiedzieć, co się dzieje? Kiedy się jest w Policji...

— Milcz, mówiła siostra, robi mi się niedobrze z tego gwałtanja.

Mogła sobie wzruszać ramionami. Jeszcze zobacz. Zobacz.

Raz raniem szum ciężarówek, ludzie ciągnący ulicami w P... Szwabi... Pytali o drogę do S... Trzeba uprzedzić partyzantów. Ktoś pomknął na rowerze drogą na przelot.

Eligiusz przypatrywał się przejeżdżającej kolumnie. Na przedzie jechało czarne auto, w którym było dwóch Francuzów. Samochód pancerny. Potem ciężarówka z ludźmi, było ich dobrze powyżej dwustu, z wystawionymi karabinami maszynowymi gotowymi do strzału... Siła. Ach! Z takimi jak ci, nie daleko zajadą nasze chwaty z P... Z takich nie będą kpić. Przeraził nie kobiet, ukrytych za okiennicami, budziło w nim śmiech: macie teraz za swoje, strojnisi...

Partyzanci zdołali uciec, tracąc część broni, radiostację, ale w końcu... Przez całą godzinę strzelali Szwabi do domu ojca Rapin. Nie zbliżając się. Zburzyli go zupełnie; podpalili resztki nim spostrzegli, że wewnątrz nikogo nie ma. Zabili na wszelki wypadek jakiegoś starca, który przypatrywał się widowisku o trzysta metrów dalej, za drzewem.

P... zostało sterroryzowane. Ale znowu nie tak bardzo skoro Eligiusz za kilka nieostrożnych słów o spalonych obrazach został przywrócony do opamiętania przez jednego z młodych Rapin, który mu wymierzył siarczysty policzek. Nie miał szczęścia kiedyś Martini, a dziś... Ten mały kłamacz nie wie co wygaduje... W każdym razie, kiedy ci się spaliła chałupa, nie będziesz wyśuchiwał nauk od smarkacza... Ma, na co sobie zasłużył... Nie słyszeliście, jak gadał, że każdy ma na co sobie zasłużyć.

Wiele razy grupa Marcela i Guy'a musiała również zmieniać miejsce schronienia. Jakis policjant w sąsiedztwie, ostrzeżenie otrzymane z Walencji. To nie drobnostka, za każdym razem znaleźcie odpowiednie miejsce, które by nie było pułapką, o dostępie łatwym do uzbrojenia, osłonięte przed wiatrem. Zaczynało być zimno. Były dni, kiedy padał śnieg.

Dla Guy'a Marcel był jak książka, mówiąca o obcym kraju. Raz mu to nawet powiedział. Było to po tej wyprawie, która się nie udała, kiedy żandarmi do nich strzelali i położyli małego Bernarda.

— A jednak, powiedział Marcel, my to także Francja.

Trzeba było się zgodzić, że Francja to nie tylko katedry i domy przestronne o pięknie lśniących meblach. Francja to kraj zwykłej biedy, pejzaż kopalni, rud i zadymionych baraków, kraj ludzi, jak ci tutaj, których dotąd Guy widywał jedynie zdaleka, którzy nie mówili zupełnie tym samym językiem, ale na swój sposób mieli także poczucie wielkości. Taki, na przykład Bernard, coż go między nich popchnęło? Mały pocztowiec nie go nie zrażało, wstawał przed wszystkimi i brał się do najgorszej roboty, chociaż nikt mu nie kazał... Nikt by nie uwierzył, że był w cywilu buchalterem. Jak na buchaltera miał silne ręce. Falszywie sobie wyobrażamy buchalterów... Kiedy go unosił nocą na nośniku... jak wtedy Gerard, rankiem nad bagniskami krzyczyły kuligi...

Zastąpiono Bernarda. Znowu jedenastu. Nie targowali się z losem w czasie jasnych nocy. Jednego dnia przyszedł do nich jakiś człowiek. Miał polecenie od kierownictwa, mówił do nich z powagą. Żądał spełnienia specjalnego zadania. Z początku się oburzyli. Wtedy tamten, wielki ospowaty dryblas, z siwymi już włosami, silnym karkiem, w koszuli z ciemnego jedwabiu, wygładała jak zagraniczna, wytłumaczył, jak się przedtawia sprawa. Trzeba, żeby ktoś to wykonał. Gdyby wszyscy mieli skrupuły... W tym wypadku w are wchodzi bezpieczeństwo wszystkich. Robi się takie rzeczy tylko wtedy, kiedy jest to konieczne, kiedy są pewne dowody. Grupa ich jest ceniona, poważna w pracy. Wiadomo, że można na nich liczyć. Francja. Odszedł, zgodził się Zresztą, czyż mogli się nie zgodzić? Guy rozumiał, ale nie mógł zasnąć. Kiedy w nocy podniósł się, było zimno. Ogłędł dogasał, towarzysze oddychali równo, zawnięci w koce, zobaczył Marcela, który stał na straży i patrzył na niego.

— Ty także o tym myślisz — szepnął.

— Tak, powiedział tamten ale nie tak jak ty.

— Ten Włoch, Martini, kiedy przyjechali po niego Szwabi, zwał im pod nosem, auto z sześcioma ludźmi: — nie poznali go. Był u piekarni w P..., wszedł, kręcąc papierosa. Wszyscy dobrze wiedzieli, po tej ostatniej historii z Mussolinim, w dzienniku było wezwanie do Włochów, aby stawili się w Walencji, zaciągnąć się do wojska, czy coś w tym rodzaju. Martini został na miejscu, spokojnie ścinał drzewa. Musiała mu ciążyć samotność, miał opinię, że rzucał się na kobiety. Łatwo go było zresztą uspokoić, pomimo jego wyglądu satyra.

Kiedy już raz wy dostał się na pagórki, możecie za nim gonić... Przyszła wiosna, wspaniała, wyrosła chyba z całej zgnilizny wojny, inaczej by nie była tak piękna. Człowiek z lasu znikł wśród wyrębów i przesieków, ociekających od wody, pąków o barwie migdałów na czarnych lśniących gałęziach...

W końcu oficer zbałał trzy albo cztery osoby, przeszedł do merostwa, wiedział, że Martini, Giuseppe, urodzony w... spójrzmy, 1908, w Poggibonsi, miał u siebie karabin, chwalił się tym przed świadkami, pomógł dezertrowi... Wydostał dla niego zużyta niebieską bluzę, należącą do... Odjechali bełkocząc.

Co to mogło być? Trzy, cztery dni później wspaniała czarna limuzyna, z literami WH zatrzymała się przed budynkiem. W środku siedział sofer i dwaj cywile. Spytali o drogę. Chcieli rozmawiać z Eligiuszem. Kiedy zawahano się przed odpowiedzią, jeden z nich wyjął rewolwer i powiedział:

— Gestapo.

Eligiusza nie było w domu, siostra jego robiła placki z sera. Kiedy ci panowie weszli, wlewała właśnie kosią śmietankę do formy. Przestraszyła się. Spytali jej:

— „To pani brat?... czy to on chciał z nami mówić...”

Dobrze mówili, jak na Niemców, po francusku, podkreślała to, opowiadając o wszystkim później. Wtedy właśnie Eligiusz wrócił.

Zobaczyli go jak wchodził, mały i czarny, o wąskich ramionach, z rozczochranymi włosami. Miał na sobie skórzaną kurtkę. Popatrzyli na siebie: nie spodziewali się, że tak wygląda, tak! waty.

— Panowie o mnie pytali?

— Otrzymałmsy pana list. Chcieliśmy porozmawiać...

Twarz Eligiusza rozjaśniła się. Nareszcie, nareszcie ktoś go wziął na serio. Trzej mężczyźni zadali sobie dla niego tyle trudu, auto... Przygoda, przygoda...

— Czy nie zechce pan wsiąść razem z nami?

Forma ze śmietanką wyleciała z rąk, obrzydzenie! Nie myślał nawet pomóc siostrze, cały był przejęty triumfem. Tłumaczyła się, szepnęła:

— Tyś do nich naprawdę napisał?

Nie raczył odpowiedzieć. Z jaką skwapliwością im towarzyszył... I to spojrzenie na przerażoną siostrę... Głupia.

Na dworze drżąca wiosna, przegowana słońcem i jasnymi cieniami. Był to czas biegnia po pagórkach, czas brodenia po łąkach, zrywania pierwszej trawy, czas pieśni i schadzek, czas ptaków nad jeszcze nagim łukiem drzew...

Kiedy usiadł w samochodzie pomiędzy dwoma podróżnymi. Eligiusz pofolgował sobie, gadał, gadał. Wyjaśniał swoją pozycję w P... Głupotę ludzi, którzy się go nie obawiali, tak, że łatwo mógł o wszystkim wiedzieć. Ten oto dostarczał żywności dezertrowi, tamten gościł spadochroniarza, trzeci był komunistą. Panowie wiedzą, ojciec Rapin, ten który wynajął partyzantom swój dom? Jego syn jest ciągle z nimi w kontakcie i kłamie kiedy twierdzi, że nie wiedział komu wynajął swoją chałupę... Przy cmentarzu mieszkała Żydzi... — Młodzi z okolicy przy pomocy siódłarza dostają się do partyzantki... Nie do tej partyzantki, którąście spalili. To była partyzantka bogatych, a oni idą do małej partyzantki. To takie grupki złe, uzbrojone, łatwe do zlikwidowania. To dlatego, że mają poglądy bardzo postępowe, wszyscy tutaj, Antymilitaryści, panowie rozumieją...

Eligiusz odbijał sobie lata milczenia, pogardy, samotności.

Ach, chętnie by wstąpił do policji, ale lepiej mówić z samym panem Bogiem niż ze świętymi. Martini, głupiec on go dobrze zna, tego drwala. Łatwo będzie go odszukać. Można się założyć, że ukrywa się u Clevala, handlarza wołów, z którym jest bardzo zaprzyjaźniony w V... Należałoby przyjść po niego inaczej, nie tak jawnie... — Mówiłem to w poprzednim liście. Panowie otrzymali następny? Dotąd nie miałem odwagi podać swego adresu. Ale kiedy zobaczyłem, że przyjechali po Martinię... Woląłem wytłumaczyć wszystko ustnie... Panowie nie kazali na siebie długo czekać. W moim drugim liście...

— W tym? Zapytał jeden z jadących, brunet.

Eugeniusz poznał list. — Tak, to jest ten drugi. Ale przygotowałem jeszcze jeden, chwileczką, zaraz go znaję...

Szukał po kieszeniach, nie mógł go znaleźć. W końcu, znalazł go w portfelu, gdzie nosił również obrazek ze swojej pierwszej komunii.

Blondyn wziął przez pomyłkę jednocześnie list i obrazek. Przeczytał machinalnie pod ilustracją w kolorze sepli, obramowaną złotem, zdanie z Pisma Świętego „Dopuszczcie dziecięcy przyjsć do mnie i raptownie oddać właścicielowi jego pobożną pamiątkę. Zostawił list z napisem: Kommandantur, Valence. Nie było wątpliwości. Ten sam charakter pisma, ten sam adres, co na liście, który im wręczono.

— Panowie widzą, mówił Eligiusz, podaje tutaj spis wszystkich zwolenników de Gallule'a, wszystkich, którzy słuchają Londynu... Och, wcale się nie krepują. Można słyszeć wieczorem, o dziewiątej piętnastcie!

Mijano właśnie miejsce, w którym droga wznosząc się do góry, nikt nie w zagajniku. Tutaj niejednokrotnie partyzanci „rekwirowali” samochody. Dalej, droga opuszcza się z powrotem w dolinę, która kokuje, i kokuje, i kokuje... Pierwsze liście i powietrze wilgotne i łagodne.

Brunet położył rękę na ramieniu szofera. Wóz stanął. — Będziemy mogli tutaj swobodnie rozmawiać... Eligiusz opierał się, popchnęli go. Znał dobrze ten zakątek, gdzie droga zawisa nad wąwozem niezbyt głębokim, ale spadającym stromo pośród akacji, które obsypią się kwiatami późną wiosną, pachnąc szczególnie mocno w tym jeszcze teraz czarnym pustkowiu.

— Co się stało? Panowie! Dlaczego?...

Wyjęli rewolwery. Głos Eligiusza uwiązł w gardle. Nic nie rozumiał. Trzeba było nawet paru sekund, aby zaczął się bać, aby zaczął się śmiertelnie bać. Nieprzyjemnie było na niego patrzeć, był zielony. Pchnęli go głębiej, bliżej wąwozu. Nic nie wyjaśniali. To było zupełnie niepotrzebne. Nozdrza Eligiusza poruszały się gwałtownie, jak gdyby szukał nadaremnie zapachu akacji. Blondyn dostrzegł na nich małą plamkę potu. Marzenie Eligiusza zmieszało się nagle z rzeczywistością, z przerażającą rzeczywistością. Przygoda.

Wystrzelili jednocześnie, krzyżując kule. Kiedy ofiara upadła, spojrzeli na siebie. Zwłaszcza blondyn zbliadł.

— Co chcesz, powiedział drugi, mus to mus. Pomóż mi...

Guy pomógł Marcelowi. Jeden za nogi, drugi za ramiona. Rzucili zmarłego w wąwóz. Widać było go jak się toczy, upada. W łagodnym powietrzu, w którym później zakwitną akacje. W dole widać było tylko ciemną plamę pośród trawy i kamyków.

Marcel butem narzucał grudki ziemi na małą kałużę krwi. Kropelki jej przyczepiły się do pierwszej zieleni.

— Skończyłście? krzyknął sofer.

Wrócili do samochodu. Na poduszce leżał list, który przejął urzędnik na poczcie i oddał go do Ruchu Oporu. Usiedli i jechali w milczeniu.

Marcel spojrzął z czułością na wilgotne czoło Guy'a. Dotknął jego ramienia.

— Trzymaj się, trzymaj, powiedział dość cicho, aby sofer nie słyszał, nic się nie zmieniło, mój stary, nie będzie się zawsze zabijać...

Maj — 1944.

ZOFIA NAŁKOWSKA

GRANICA

Powieść — Wydanie 5.

Str. 275

Cena zł 140.—

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

W najbliższym czasie ukaże się miesięcznik „PAŃSTWO I PRAWO”

Organ Zrzeszenia Prawników Demokratów w Polsce.

Pismo poświęcone zagadnieniom prawa i ekonomii. Cena pojedynczego numeru 45 zł. Prenumerata kwartalna 120 zł. Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska Nr 159, telefon 180.22, g. 13 — 15.



## Dyskusja o filmie (II)

## „Film polski“ na cenzurowanym!

Wyczytałem onegdaj w Nowej Epoce takie zdanie:

„Ody dotychczas produkowaliśmy same krótkometrażówki, to otwarcie atelier umożliwi nakręcanie pełnych filmów i postawi polską sztukę filmową na wysokim poziomie artystycznym i ideowym. Ponieważ film polski przestał być sferą wpływów prywatnego przedsiębiorcy, nie będzie szedł po linii rentowności i zysku, nie będzie schlebiał najplacowanym gustom publicznym, lecz stanie się potężnym środkiem wychowania społecznego...”

Prawda, jakie to proste? Otwarto atelier — i od razu wysoki poziom artystyczny i ideowy!... Film nie będzie myślał o zysku — i od razu — potężny środek wychowania społecznego!...

Nie, proszę łaskawej pani, to nie jest takie proste! I właśnie dyskusja u literatów wykazała to w całej jasności... To nie jest takie proste, ponieważ — doskonała technika nie tworzy jeszcze „potężnego środka wychowania społecznego”... Te ważne cele może spełnić jedynie kultura twórczych pracowników filmu i ich artystyczne uzdolnienia. I to, a nie co innego, jest pierwszym i podstawowym czynnikiem pchnięcia naprzód sprawy filmu w Polsce. I trzeba to bardzo mocno podkreślić, ponieważ właśnie na tym odcinku — film polski w ciągu 20 lat swego istnienia niczym się nie wykazał! Dzisiejsze perspektywy lepszej przyszłości filmowej stwarza nie dekret o upaństwowieniu, nie atelier, nie wyrzeczenie się zysków, bo to są tylko lepsze warunki klimatyczne, lepsza gleba. Najistotniejsza jest sprawa lepszego niż ongiś ziarna, sprawa nowych, twórczych jądrow w filmie polskim.

I to zagadnienie chciałbym — na marginesie dyskusji u literatów — wysunąć na pierwsze miejsce.

„Film Polski” rzeczywiście, zebrał po wojnie wszystkich pozostałych przy życiu filmowców. Ale wśród nich była tylko mała garstka realizatorów i autorów którzy przed wojną nie popelnili grzechu fabrykowania kieców w osławionej branży. Garstka, powtarzam, śmiesznie mała! Wiesz dobrze, co z tego wynika? Wynika niesłychanie pilna potrzeba zrobienia spisu „ludności filmowej” i przekonania się, jakie są w niej braki i luki... Potrzeba pierwsza, ważniejsza od technicznych! Otóż spis wykazuje od razu, że zespół trzeba powiększyć, że z tym materiałem ludzkim jaki jest — dobrego filmu się nie stworzy.

Powiększyć zespół — metoda na dłuższą falę, przez tworzenie kursów wiedzy filmowej dla młodych i metoda doraźna — przez wciągnięcie do pracy w filmie (jednak także w sposób przemysłowy i zorganizowany) możliwie dużej gromady artystów z terenów sąsiednich: literatury, plastyki, teatru i muzyki.

Siedząc z mjr. Wohlem w Krakowie, w tańszej bazie „Filmu Polskiego” — zrozumielśmy to potrzebie pierwszy. Utworzyliśmy już w maju 1945 r. Warsztat Filmowy dla Młodych i — nie mam zamiaru chować pod korcem tej gorzkiej prawdy — mieliśmy niesłychane trudności, żeby te placówki zachować przy życiu. Było dziwne jakiegoś uprzedzenie do naszej pracy, choć sprawa była „czysta i oczywista”. Trudności na tym odcinku szkoleniowym są nadal wielkie, bo nie mamy wykładowców, bo ci, którzy mogą imyć czegoś nauczyć, muszą się dwoić i troić... Ale, mimo trudności — coś się robi, idzie się naprzód! Dotychczasowy wynik: prawie dziesięciu młodych z terenu krakowskiego — już pracuje i to dobrze pracuje w filmie!

To krakowska baza pierwsza nawiązała liczne i jakże ciepłe kontakty ze światem sztuki i nauki, organizując pokazy, ankiety, prelekcje, a nawet wciągając wiele jednostek do bezpośredniej pracy nad filmem! To Kraków, przez dobrze zorganizowane i inteligentne przyjęcie dziennikarzy angielskich, pomógł później naszym przedstawicielom w Londynie zdobyć filmy angielskie, pierwsze filmy z zachodu, jakie teraz publiczność ogląda w kinach! To wszystko trzeba powiedzieć, bo o tym, niestety, biuletyny prasowe „Filmu Polskiego” nie pisały i opinia o tym nie wie, bo jeszcze i dzisiaj placówka krakowska napotyka na przeszkodę w centrali Filmu. Ale ostatecznie, Bogu dzięki, wziął już to w swoje ręce Instytut Filmowy, który — jeśli się tylko jeszcze potrafi umieścić na odcinku gospodarczym — pójdzie piękna droga naprzód.

Mobilizacja doraźna... Stwierdzam z całą stanowczością, choć zdanie moje, niestety, nie jest popularne wśród filmowców: tylko natychmiastowy dopływ dojrzałych pracowników twórczych z innych dziedzin — może nam zapewnić artystyczny i ideologiczny poziom produkcji wyższy niż przed wojną. Filmowcy (mówię o tych z odcinka artystycznego), nie wiem dlaczego, skłonni są siebie uważać za jakichś masonów wysokiego stopnia, za wyłączenie w tajemniczości w sekret twórczości filmowej! Owszem, w tajemniczości i sekret istnieją, ale nie polegają na tajemniczych zaklęciach, a jedynie — na poznaniu i wychwyceniu odrębności języka filmowego! Otóż śmiać twierdzić, że zdolny autor, muzyk, plastyk — nie straci wiele czasu, żeby ten język poznać i najopryznie się nim przemawiać!

Jestem filmowcem. Co to znaczy? Czy byłem nim od urodzenia? Czy mam jakiś cenzus, ukończyłem jakiś specjalną szkołę, filmowy uniwersytet? Nie podobnego! Nie było u nas takich szkół. Po prostu — odkryłem w sobie kilkanaście lat temu zainteresowanie, jak się to mówi, „żyłkę”, zacząłem się na własną rękę uczyć, czytać, pisać, próbowałem krecić, pojechałem za granicę na praktykę itd... I zostałem filmowcem! I te „kilkanaście lat” nie wynikły bynajmniej z trudów poznania tajemnic filmu, bo na to nie trzeba tyle czasu, a po prostu były czekaniem na okazie samodzielnej pracy, walka z branzą, waleniem głowa o mur! Czy odbyłem ponadto jakieś świecenia, w tajemniczości wśród piszczeł i sztyletów? Nie podobnego!

I to samo może dziś zrobić każdy pracownik z pokrewnych zawodów (literatury, teatru, plastyki...) z tą tylko różnicą, że i ja i moi koledzy — musieliśmy za młodych lat zwalczać olbrzymie trudności, żeby coś z tego filmu poznać, czegoś się nauczyć, do czegoś się dopchać. Dzisiaj natomiast — nie jest to potrzebne, bo, jak powiedziałem, „warunki klimatyczne są inne” i po prostu dlatego, że cały naród idzie drogą reform społecznych, że hasło upowszechnienia kultury przestaje być frazesem.

Przecież, na mój Bóg, 50 lat temu nie było na kuli ziemskiej ani jednego filmowca i nie było żadnej wiedzy o filmie, a mimo to, od razu w pierwszych latach kin — zjawili się i Griffith i Chaplin i René Clair i Delluc i Gance i wspaniali Szwedzi i wielu innych! Czemu o tym zapominamy? Czemu tworzymy dzisiaj sztuczna kaste episkopskich kapłanów? To tylko technika wymaga studiów i długolnej specjalizacji! Natomiast poznanie takiej składowej sztuki, jaka jest beletrystyka filmowa — nie jest wcale dla artysty jakąś abrakadabra, może się odbyć w krótkim czasie, w sposób niejako biologiczny, po prostu ziarno musi paść na dobrą glebę ogólnych uzdolnień artystycznych. I wtedy wiele jest danych, że roślina zwana „filmowcem” wyrosnie i wyda kwiaty!

Żeby jednak zbierać plony, trzeba siał. Trzeba odkrywać schowane pod ziemią żyły bogate w kruszec, one same złotem nie zabłysną! A odkrycia są tutaj możliwe tylko na tych terenach, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa ta ruda krwisi się, tj. właśnie na terenach literatury, plastyki, muzyki i teatru.

Kierownicy „Filmu Polskiego” powiadają: próbowałem, oto nazwiska, nic z tego nie wyszło, literaci nie wykazują zainteresowania, nie w filmie nie potrafia!... Przypomina to oburzenie turysty, który za granicą zwracał się po polsku do tubylców i wołał: przecież oni nie rozumieją! A namoc że ich, bracie, swojej mowy i dondero wtedy oburzają się, jeśli ciebie nie rozumieją! Co zrobił „Film Polski”, żeby „nauczyć” ludzi spod znaku innych Muz języka filmowego? Nic! Dorywcze imprezy i to wtedy, kiedy zaczynało być gorąco w prasie. Gdzież są stałe pokazy, stałe dyskusje, wspólne analizy filmów i scenariuszy? Nie ma! Kierownictwo powie: kto to będzie robił, nie mamy ludzi! Kto? A właśnie twórcy pracownicy filmu, reżyserzy i scenarzyści. Ich to trzeba zbliżyć z kolegami pokrewnych zawodów, zetknąć w sposób atrakcyjny i z pewnym programem! Jeśli sami filmowcy coś naprawdę umieją, jeśli potrafią przekazać to swoje wiadomości innym, to dobrze, jeśli — nie — to przynajmniej sytuacja będzie jasna, młot o wysokich kwalifikacjach artystycznych naszych filmowców rozwieje się. I wtedy — tabula rasa — wtedy trzeba będzie pomyśleć o zmianie warty, postawić nowe bardziej oddalone terminy, wtedy przestaniemy się ludzi i zaklamywać. Wtedy przynajmniej może racie Stonimskiemu, który ongiś mówił: nie będzie filmu dobrego w Polsce, bo Polacy nie mają w tym kierunku żadnych uzdolnień!... Żart na stronę, my naprawdę tego jeszcze nie wiemy — kto ma racie, Stonimski czy Ford! „Dobry polski film”, jaki obiecuje Ford, a za nim dziennikarz z Nowej Epoki — to wcale nie jest takie oczywiste! O tym, czy możemy taki film zrobić należy się dopiero przekonać i to pasjonujące doświadczenie potrwa nie rok, ani dwa, ale znacznie dłużej! Ale należy zrobić wszystko, żeby drezcąca nas niepewność zabić. Ba, my sami, my filmowcy — mamy tę niepewność, bo przecież żaden z nas nie ma jeszcze za sobą, pozycji, która by świadczyła bezapelacyjnie o jego powołaniu i zdolnościach!

To znaczy, mówiąc praktycznie — należy zacząć produkować filmy. Nie te „tylko dobre filmy”, jak koniecznie chce kol. Ford, bo tego na samo zamówienie Forda się nie zrobi, bo i amerykański Ford nie od razu wyprodukował dobre samochody! Ale filmy „może dobre a może złe”, po prostu jakieś filmy! I proste mnie znów, nie łapać za słowa i słówek tych nie przekrecać. Mówiąc „jakieś”, nie mam na myśli starego kalendarza, z którym się wejdzie do atelier, ale skromny możliwie rozsądny w naszych warunkach plan, zrobiony z kontrola do tego powołanych i zrealizowany możliwie uczciwie (uczciwie artystycznie i społecznie). Ta właśnie uczciwość w realizacji i wyraźna planowość — jest wszystkim, czego się dziś od kierownictwa Filmu wymaga! Niczego więcej nie pragniemy, żadnego amerykańskiego poziomu, żadnych Szekspirów czy Cecil de Mille’ów nie oczekujemy... Ci przyda sam, jeśli ich nasza gleba potrafi wydać!

Dyskusja u literatów, wykazała niezbicie, że na tym odcinku kierownictwo „Filmu” po-

pełniło kardynalne błędy, że przeceniło siły zespołu filmowców, jakim dysponuje, że wytworzyło — nie ze złej woli, to pewnie, ale wskutek błędnej postawy — niepotrzebną i szkodliwą dla obu stron izolację. Taka sobie forteca, w której ustawia się multiplexy, a zapomina się, że z pustych multiplexów i Salomon nie należe.

Dyskusja wykazała również, że w działalności resortu prasy i propagandy filmowej były objawy mitomanii. Znamy te polską chorobę: wszystko będzie wspaniałe, mocarstwowe, amerykańskie, już zaraz, dziś, jutro, pojutrze!... A potem blamaż. W pewnej chwili rzeczywistość każe zahamować optymistyczne oszołomienie, ale niestety, otrzeźwienie nie dochodzi do uszu opinii publicznej, która zgłasza się z weksem do kasy. I weksel okazuje się bez pokrycia! No dobrze, ale przecież można było w swoim czasie weksel sprolongować! Można było machnąć poważnie i trzeźwych artykuły do Kuźnicy. Odrodzenia, Przekroju, oznajmiające wszystkim, że sprawy wyglądają tak a tak, że na film musimy jeszcze poczekać tyle a tyle, że robimy na razie to a to... Czy to było trudne? Nie, to było bardzo proste i łatwe. Cóż kiedy znowu ten przeklety optymizm! Pytają na zebraniu Forda, kiedy będzie pierwszy polski film pełnometrażowy? Ford mówi: za sześć, siedem miesięcy, a dalsze — oczywiście! w krótszych odstępach czasu. A przecież tak nie będzie, to wszyscy wiemy! Mamy na razie jedną halę i to nie gotową, druga będzie najwcześniej za pół roku. No to daj Boże, żeby pierwszy film ukazał się na Boże Narodzenie! A następnym gdzieś na Wielkanoc! Po co się wzajemnie oszukiwać? Nawet, zdobyw życie zadoła klam temu co pisze (pierwszy się z tego ucieszył), to i tak w oficjalnych wypowiedziach należy być ostrożnym, bo obietnice budzą apetyt odbiorcy i wycofanie się potem z tych obietnic kosztuje bardzo drogo, jak to widzieliśmy ostatnio.

Druga ważna sprawa wysunięta w dyskusji u literatów, to problem: co może dać literat filmowi i w jaki sposób ma swać „dary” przynieść. Padły tu zdania słuszne i niesłuszne, i szkoda, że wiele niesłusznych padło właśnie ze strony kierownictwa Filmu. Bo to znak, że z tą „niezawodna orientacja” kierownictwa nie jest tak znów wszystko w porządku. Padły więc zdania takie: dajcie nam dobra powieść, a z reszta już sami sobie damy radę! Albo jeszcze prościej: dajcie nam szkie powieści!... Nieporozumienie, proszę panów! Nie o to wcale chodzi! Nie przeróbki z powieści dają najlepsze filmy, a przynajmniej nie jest to jakaś polecana zasada! Bossak mówi: 80% filmów — to przeróbki z dzieł literackich. Może tak i jest, choć nie wiem, skąd Bossak wziął tak dokładny procent... Ale jakże olbrzymia jest podaż powieści, z których Amerykanie czy Francuzi — mogą sobie wybrać to, co nadaje się do przeróbki! I jakże wiele tej beletrystyki, nawet najlepszej odrzuca się jako piasek dla filmu nieuzupełniony! Bo jednak wybór istnieje zawsze, i nie tylko wybór dyktowany względami geozefetu! Wybór istnieje, bo nie każda powieść

jest dobra dla filmu, choć z literackiego punktu widzenia może być dobra, a nawet arcydobra! Co np. dały przeróbki na film arcydzieł Dantego, Mickiewicza, Żeromskiego, Conrada? Nieporozumienie artystyczne i fałsz. Dlaczego? Bo w powieści musi być kryć jakaś ruda zdarna do przeróbki filmowej, jakiś materiał dla filmu i tylko wtedy gra jest warta świeczki! Żeby uzyskać ziarnka złota, przemyna się piasek złotonośny a nie każdy napotykaną piach!

Skoro więc jest wybór, to muszą być i kryteria tego wyboru. Dlaczegoż w takim razie nie udostępnić pisarzom tych kryteriów, a osłaniać się zasłona dymna i wołać: dawajcie nam szkie powieści, a reszta należy do nas! Dlaczegoż tylko do nas? Iu nas jest? Na palcach jednej reki można policzyć, a i ci nieliczni sami się jeszcze klóca zazarcie o kryteria wyboru!

Nie, proszę panów! Nie powieści są nam potrzebne, chociaż oczywiście, im więcej tego na rynku, tym lepiej dla wszystkich, więc i dla filmu! Potrzebni nam są scenarzyści! Właśnie scenarzyści! Tych zaś możemy znaleźć wyłącznie wśród pisarzy i dramaturgów i znajdziemy ich, jeśli nie zrażając się pierwszymi niepowodzeniami, będziemy konsekwentnie i z uporem dalej poszukiwania prowadzić. Wołanie: literaci się nie interesują, są obojętni, albo wprost cyniczni, nie tu nie wyjaśnia. To nie my jesteśmy im potrzebni, tylko ONI nam! I to wyraźnie przesuwa obowiązek inicjowania kontaktów w naszą stronę! Obowiązek wzbudzenia u nich pełnego zaufania, zainteresowań, zapala, kłóćko mówiąc: zdobycia ich dla sprawy polskiego filmu! Nie wystarczy tu ogłaszać: drzwi są otwarte, przychodźcie, i potem czekać aż przyjdą! Bo to nie jest sklepik. A raczej: sklepik jest po drugiej stronie ulicy i to MY musimy do jego drzwi zapukać, i kukać tak długo aż nam otworzą.

Błędna taktyka kierownictwa ołynie prawdopodobnie z tej sugestii, że film jest czymś tak abstrakcyjnym, że wszyscy się do otwartej bramy rzuca i tworzą w niej kolosalny ogonek! Owszem, film jest atrakcyjny, ale nie polski film, bo ten do tej pory tylko odstraszał ludzi sztuki. Głęboka nieufność pozostała i nowi ludzie filmu mają obowiązek tę nieufność teraz przełamać. Nie samymi tylko zaproszeniami do kina czy na herbatę.

Potrzebni więc są nam autorzy, żywi autorzy. Autorzy, którzy poznają sekret filmowości i nauczą się ten sekret odkrywać w swej pracy „kronikarzy ludzkiego losu”, nauczą się opowiadać o ludziach i zdarzeniach językiem filmu. O to chodzi, proszę panów dyrektorów, a nie dawanie „szkieców powieści”!

Pierwsza osoba, która autor wimen spotkać, wimen być filmowy reżyser. To nie dyrekcia winna się przyjaźnić i nawiązywać duchowe kontakty z pisarzami, to przede wszystkim filmowcy, którzy mają krecić filmy. I nie wystarczy powiedzieć: „dobrze, róbcie to”, skoro to potrzebne — ale trzeba filmowcom stworzyć do tego odpowiedniej warunki. I to właśnie jest rzecz kierownictwa.

Dyskusja u literatów nie udowodniła jeszcze, że „Polacy nie gesi, że swój język (filmowy) mają”, ale jasno i wyraźnie ukazała drogę, na którą musimy wejść, żeby się o tym raz nareszcie przekonać.

Antoni Bohdziewicz

JAN ROJEWSKI

## Siedem dni

Dyplomacja nie jest naszą silną stroną; na ogół zdajemy sobie z tego sprawę, a mimo to brniemy dalej od błędów do błędów politycznych. Nic dziwnego. Umysł przeciętnego polskiego inteligenta formował się w szkole średniej braci Jędrzejewiczów. Wbijano nam do głów, że Polaka winna być Chrystusem narodów, jak chciat Mickiewicz lub Winkielriedem narodów, jak majający Słowacki. To były recepty na okres niewoli. W krótkich pauzach niepodległości obarczono nas misją obrony chrześcijaństwa w oparciu o niezawod. ne cudy nad Wisłą, Pamiętam obraz Jerzego Kossaka, nadwornego malarza Okocimia i Belwederu, przedstawiający bitwę o Warszawę w 20-tym roku. Na ziemi cieli bolszewików dzielni ułani, a Matka Boska i Wszyscy Święci grzali od góry. Identycznie opisuje inną zwycięską bitwę Jan z Wiślicy w „Bellum prutenum” z XVI-go wieku. Dolem kawaleria, górą Wszyscy Święci. Nic się nie zmieniło w ciągu pięciu wieków w naszej strategii. Tradycje romantyczne były tak silne, że jeszcze w 39-tym roku wydawano książki, udowadniające na podstawach gematrii, że Piłsudski to „44”. W parę miesięcy później, nad Bzurą kawaleria atakowała niemieckie tanki. Świętych nie było; nie mogło też być cudu nad Bzurą. Mimo to, po tylu smutnych doświadczeniach Bzdura ma zwolenników. Wiara w cuda i mierzenie sił na zamiary cięży jak spa dek po dziadku. Ludzie, których Nanke uczył historii, wierzą, że Mikołajczyk poza blokiem — to Polska od morza do morza. — Mieszkańska półinteligencja, a o niej dzisiaj mówię, nie myśli kategoriami ekonomicznymi w sprawach ogólnopolskich. Żadna reforma nie jest świętem narodowym i mniej cieszy romantyczne głowy niż bezmyślny, ale „zbrojny” marsz Rydza na Kowno. Obok ta-

kich marszów, roją romantyczne głowy o idealnej niezawisłości, którą w praktyce rozumieją jako niezawisłość od Związku Radzieckiego. Każda inna zawisłość jest wolnością. Jak chrańszcze majowe (1926 r.) rozbił ją się o tę samą zaparę, kontynuując bezmyślny lot. Nie sądzę, żeby którykolwiek spośród naszych polityków uważał zależność od Związku Radzieckiego za ostateczny cel swojej polityki niepodległościowej; wiem natomiast na pewno, że obóz demokratyczny uważa współzycie przyjazne ze Związkiem Radzieckim za je. dyną drogę do pełniejszej suwerenności.

Niszcząc reakcję polega właśnie na tym, że w polityce nie uwzględnią szans. Anders wyprowadził z Rosji swoje wojska, żeby wrócić „z Krymu do Rzymu na... Tarnopol”, zamiast wracać przez Bug. Raczekiewicz rodmuchał „Katyń” zamiast milczeć, bez względu na to, co o tym myślał. Gdyby nie te dwa błędy swoich notorycznie kiepskich dyplomatów, miałyby może dzisiaj reakcja — Andersa przy sztabie generalnym, w gar. nizonach uzbrojonych w angielskie bomby atomowe preterian, a Raczekiewicza w okolicach Belwederu. Gomulka byłby w opozycji! Tu muszę zapewnić, że nawet w takiej Polsce z bajki Andersa Związek Radziecki miałby ten sam wpływ i tranzyt, jaki ma dzisiaj. Albo w konsekwencji daleko większy. — Bo wiecznie czynna i agresywna głupota polityczna Andersa, objawiała się zapewne, w szaleńczych próbach sabotażu sowieckich linii komunikacyjnych, w oparciu o „chłopców z lasu”. Czerwona Armia miałaby jeszcze parę orzechów do zgryzienia; jeden włoski i trochę las-kowych. Na szczęście obyło się bez tych komplikacji. „Rząd” upadł zanim powstał.



## Zapomniane iuvenilia Kasprowicza

W pięknych i niezmiernie interesujących pamiętnikach Ludwika Krzywickiego, opracowywanych obecnie do druku przez Stanisława Stempowskiego, znalazłem wiadomość o dwóch wierszach Kasprowicza, pochodzących z najwcześniejszego okresu jego twórczości. Obydwa te utwory doręczone pamiętnikarzowi w Lipsku podpisa-  
nie literą J. drukowane były w *Przedświ-  
cie*, w numerze listopadowym 1884 roku; poza tym *Pieśń* wydrukowała równocześnie „Walka Klas” (numer październi-  
kowy).

Do Warszawy przysłał poeta jeszcze trzeci utwór z prośbą o umieszczenie go w którymś z czasopism. Krzywicki zaniósł go do Prawdy, gdzie jednak nie został umieszczony. Tego utworu Krzywicki nie zapamiętał.

Podpis kryptograficzny przyczynił się zapewne do tego, że żaden z tych wierszy nie znalazł się w wydaniach zbiorowych dzieł Kasprowicza. O ile sobie przypominam również Brzeska nie ogłosiła ich w *Pismach młodzieńczych* wydanych w Poznaniu. Ze wspomnień Krzywickiego wiemy, że nawet sam poeta nie przypominał ich sobie zupełnie, kiedy mu je przytoczono w r. 1905 w Warszawie podczas rewolucji.

Wiersze, które zamieszczamy poniżej nie odznaczają się wykwintnością formy. Interesujące są natomiast przez swoją treść ideową. Są wyrazem socjalistycznej postawy bojowej młodego poety, dalekiej jeszcze od późniejszego obudzonego prometeizmu uniwersalistycznego.

Pierwszy z tych wierszy zatytułowany został „Naśladowanie z Shelleya”. Chodziło w nim nie o naśladowanie formalne, lecz o oddanie go po nowoczesnemu buntowniczości ducha poezji shelleyowskiej przeciw wyzyskowi klas pracujących przez klasy posiadające i uprzywilejowanej. Wiersz ten brzmi:

### NAŚLADOWANIE Z SHELLEY'A

Długoż wy jeszcze będziecie tak  
Ciemieźcom pszenicy uprawiać szlak,  
I prząść purpury błyszczący szmat,  
By nią się zdołał wasz własny kąt?

Długoż to jeszcze szerszeni ród  
Będzie swój żywot bezczelny wiodł  
I krew pil waszą i chleb wasz jadł  
I wam na barki swe jarzmo kładł?

Robocze pszczoły o długoż wy  
Będziecie kuli ku hańbie swej  
I podawali w szerszeni dłoń  
Żelazny łańcuch, żelazną broń?

Czyż wy, bez chleba, czyż wy bez strzech,  
Znalście kiedy miłość śmiech?  
O mówcież, mówcie, za jaką z cen  
Dajecie krew i pot swój, ten?

Sieiecie ziarno, by inni żył,  
Innym szukacie złociących brył,  
Innym przedaciecie kosztowny strój,  
A miecz wasz dzierżw wasz własny zbił.

Nie miło dziś wam zasławać tan  
I zbierać złota, by gnębił pan  
Sobie to, sobie prząść, zbierać, siać  
I kule dla swej obrony lać!

Wy spoczywacie wśród sklepów, jam,  
Innym wspaniały budując chrám!  
Precz wyrzucicie przekleństwa gładz!  
Wszak to stał wasza dziś godzi w was.

Kądziela, zydłem i płuciem, och!  
Grzebiecie sobie grobowy loch,  
Przedaciecie sobie śmiertelny błam,  
Ta własna ziemia cmentarzem Wam!

Drugi wiersz *Pieśni Dymitra Lizoguba* ma niezmiernie ciekawą genezę.

Dymitr Lizogub był to bardzo bogaty ziemianin czernichowski, który w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku należał do terrorystycznego oddziału *Zemli i Woli* (troglodytów); po utworzeniu się konspiracyjnego związku radykalnych ludowców *Narodnaja Wola* na Ukrainie Lizogub wraz z Popką i Krawczyńskim stanął na czele oddziału terrorystycznego. Dwa udane zamachy na kierowników żandarmerii Heykinga i Mezieńcowa, zmusiły zamachowców do lawirowania między Odessą a Kijowem. Lizogub wpadł w ręce policji w sierpniu 1878 roku w Odessie i wraz z towarzyszami partyjnymi Czubarowym i Dawidienką został powieszony 10 sierpnia 1879 roku.

Lizogub był marzycielem — wizjonerem rewolucji, umiał jednak działać również praktycznie. Był to główny organizator terroru, on dostarczał pieniędzy organizacji, puszczal i kolportował między chłopami sfalszowane manifesty cara, w swoich obszernych dobrach dawał schronienie terrorystom. Działal prawie wyłącznie na terenach wiejskich.

Wiadomości Narodnej Woli z 5/XII r. 1880 podał przebieg aresztowania i procesu Lizoguba oraz zamieścił jego rzekomo wiersz, pisany w przededniu szubienicy. Jest to prawdopodobnie falsyfikat, nap-

sany przez kogoś innego, chodziło mianowicie o apoteozę męczennika.

Wiersz ten wzruszył głęboko Krzyw-  
kiego, który odnośny numer *Wiadomości*  
przeczytał w Lipsku w r. 1884. Przeczytał  
go więc i przetłumaczył Kasprowiczowi,  
który przyszedł w odwiedziny. Kasprowicz  
nic nie odpowiedział, prosił jedynie o po-  
wrotne przetłumaczenie utworu. Nazajutrz  
rankiem przyniósł swoje opowiadanie:

### PIEŚŃ DYMITRA LIZOGUBA

Zegnaj mi ludu! Ostatnie już słowo  
Dziś wam posyłam drodzy towarzysze,  
Kat mię już czeka. Ponad moją głowę  
Już się śmiertelna pętlica kołysze...  
Nie drż przed strykiem, umieram  
spokojnie.

Bo w moim sercu tkwi wiara gorąca,  
Ze po tych trudach, po tej krwawej  
wojnie

Zobaczą ludy blask złotego słońca.  
Przebac mi ludu, jeśli moje czyny  
Nierówną korzyść nosiły ci w ofierze,  
Przebac i nie chciej szukać we mnie  
winy!

Ja cię kochałem gorąco i szczerze.  
Przebac! Już gardło pętlica mi cisnie,  
W oczach już ciemno, krew już krzepnie  
młoda —

Hurra... niedługo nowy świat zabłyśnie —  
Niech żyje rozum, miłość i swoboda!...

W parę tygodni potem, kiedy Krzywicki  
odjeżdżał do Genewy, ażeby *Pieśń Lizo-  
guba* wręczyć Mendelsonowi, Kasprowicz  
na dworcu wcisnął mu jeszcze „Naślado-  
wanie Shelleya”. Było to właśnie oryginalne  
dopełnienie *Pieśni* rosyjskiego re-  
wolucjonisty.

Juliusz Saloni

### NOWE KSIĄŻKI

Słowo o Grunwaldzie. Wybrał i objaśnił  
Stanisław Lempicki, „Czytelnik”, 1945, str.  
102 i 2 nl.

Okolicznościowe wydawnictwa, związane z  
535 rocznicą Grunwaldu, ma na celu zaświad-  
czyć o ciągłości zawsze żywej tradycji grun-  
waldzkiej w Polsce i ukazać kilka pomników  
literackich pamiętnemu zwycięstwu poświęco-  
nych. Szereg starannie wybranych, opatrzo-  
nych notami informacyjnymi i objaśnieniami  
tekstów, otwiera rozdział o „bitwie Grun-  
waldzkiej” z „Historii Polskiej” Jana Dłu-  
gosza, w tłumaczeniu Karola Mecherzyńskiego.  
Z kolei idzie „Staroświecka pieśń o prus-  
kiej porażce”, utwór poety anonimowy, powstały  
najprawdopodobniej ku uczczeniu setnej rocz-  
nicy Grunwaldu; dalej — Jana z Wiśnicy  
fragment z „Wojny pruskiej” (w tłumacze-  
niu prof. Smereki), Niemcewicza — „Władysław  
Jagiello” (ze „Śpiewów historycznych”),  
Słowackiego — wyjątki z *Zawiszy Czarnego*  
i, wreszcie z „Krzyszaków” — Sienkiewicza  
opis bitwy grunwaldzkiej.

Wszystkie te pozycje dokumentujące siłę i  
tytułość pamięci Grunwaldu w narodzie pol-  
skim, są zarazem literackimi zabytkami wy-  
sokiej wartości, których dokładne poznanie  
i przywołanie staje się w dzisiejszych wa-  
runkach niemal nakazem patriotycznego obo-  
wiązku. I u Długosza i u Sienkiewicza znaj-  
dujemy ustępy, zasługujące na to, by użyć  
się ich na pamięć i recytować przy odpowied-  
niej sposobności.

Prof. Lempickiemu należy się wdzięczność  
za udostępnienie szerokim masom tego cen-  
nego zbioru tekstów grunwaldzkich, zaś „Czy-  
telnikowi” — za niezwykle staranną i przy-  
jemną oprawę graficzną pożytecznego wyda-  
nictwa.

Jan Górski, *W sercu Szwabii*. (Wrażenia  
z amerykańskiej strefy okupacyjnej). Warsza-  
wa, Wydawnictwo Literackie 1945, str. 31  
i 1 nl.

Wrażenia Górskiego nie odbiegają od wielu  
innych podobnych wrażeń, drukowanych na  
łamek periodyków polskich, a kwintesencją  
broszurki jest stwierdzenie, że amerykańskie  
władze okupacyjne postępują z Niemcami zbyt  
łagodnie, co wywołuje niezadowolone nawet  
wśród antyhitlerowskiej części ludności ni-  
emieckiej.

„Wydaje się” — pisze autor książeczki — że  
Niemcy są krajem sprzymierzonym, że istnieje  
nakaz szczególnie dobrego traktowania ich.  
Ułatwiania im życia. Opinie tę ilustruje szereg  
jaskrawych przykładów amerykańskiej toleran-  
cji i pobłażliwości. Dziwimy się i oburzamy  
na równi z autorem, czytając np., że na uli-  
cach miast okupowanych „widok Niemców w  
mundurach oficerskich z odznakami, rozbla-  
gających się w eleganckich limuzynach nie na-  
leży do rzadkości”, albo że „podróż dla Niem-  
ca w amerykańskiej strefie okupacyjnej jest  
niezwykle łatwiejsza, aniżeli dla obywatela  
państwa sprzymierzonego...”

Zródła i cele takiej polityki są na ogół znane  
— i nie tu miejsce zajmować się nimi szerzej.  
„Na pociechę” możemy zauważyć, że strefa  
okupacji amerykańskiej nie jest jednak tym  
obszarem, gdzie pobitym Niemcom dzieje się  
najlepiej. Jak dowodzą liczne fakty i bardzo  
wiarogodne świadectwa, wspaniałomyślność  
angielska wobec „biednych” Niemców przewyż-  
sza znacznie łagodność zwycięzców amerykań-  
skich, — a co z tego wynika, dowiemy się  
kiedyś, oby nie „po szkodzie”. bf

## Malarstwo Walentyny Symonowicz

Wystawa prac malarskich i rysunków W.  
Symonowicz w Miejskiej Galerii Sztuki, obok  
wystawy Jerzego Mierzejewskiego posiada  
swoją zupełnie odrębną charakter.

U jego podłoża leży wrażliwość i niepokój  
i fantazja.

Prace zostały wykonane na przestrzeni 7  
lat (39 — 45 r.), stąd płynie niejednorodność  
podejścia. Są one prawie wyłącznie tematowe.  
Temat w malarstwie doby obecnej jest zagad-  
nieniem swoistym: mówi się o nim wiele, pi-  
sze jeszcze więcej, jednakowoż w twórczości  
plastycznej właściwie się nie objawia.

Wedle słów Matisse'a: „Koloru obrazu tak  
jak przy symfonii nie potrzebują anegdoty,  
aby wywołać w widzu czy słuchaczu wraże-  
nie, że artysta jest czuły i szlachetny”. Po-  
chlaniają plastyków starszych niewyczerpane  
problemy, jakimi są szarmonizowanie i ustos-  
sunkowanie do siebie elementów ukazanych  
przez naturę.

Na skutek ogromnego wysiłku i pasji wło-  
żonej w poszukiwanie formalne, od kilkudziesięciu  
lat, płótna obrazujące je (głównie mart-  
we natury i pejzaże) osiągnęły wysoki po-  
ziom, nieraz nawet u malarzy późniejszej  
klasy. Tak jak w epoce renesansu wirtuozeria  
malarska dopięła takich szczytów, że nawet  
mierny talent wzbudza podziw swoją wiedzą,  
tak dziś, choć nie możemy absolutnie tego  
docienić — spotykamy wiele świetnych płócien  
i to u malarzy rozmaitej skali. Tezę tę po-  
twierdza fakt, że już w szkołach plastycznych  
uczniowie pierwszego czy drugiego roku zdumie-  
wiają niekiedy poziomem „martwej natu-  
ry”.

Nie wynika stąd — rzecz zrozumiała, aby  
stan ten miał być permanentny. Sztuka jest  
żywa i zmienna, nadejdzie moment, może już  
bliski, w którym plastycy wyjdą z namiętne-  
go adorowania natury, wzbiją się ponad nią,  
dojrzeją do tematu.

Przechodząc do zagadnienia malarstwa te-  
matowego na Zachodzie (Francja) — kubizm,  
formizm, surrealizm, to wydaje się, że zasłu-  
giwałoby ono raczej na miano abstrakcyjnego.

Braque, La Fresnaye, Lhote, Gromaire,  
pokazują nam sztukę opartą na konstrukcji

i poszukiwaniach poza anegdotę, choć są z nią  
nieraz związane. Wielkie zaś kompozycje czy-  
sto tematowe, jak np. freski zdobiące pałac  
Ligi Narodów w Genewie i inne reprezenta-  
cyjne budowle, nie wypływają z żadnej zdecy-  
dowanej koncepcji plastycznej.

Próby formułowania kompozycji poprzez  
zagadnienie linii i formy, we wcześniejszych  
płótnach Walentyny Symonowicz podlegają  
wpływowi wyżej wspomnianych Francuzów.  
Charakteryzuje je przeważnie mocne ujęcie  
i zwartość kompozycyjna, z dołączeniem eks-  
presji. Zrodzone są z niepokoju i wrażliwości  
i to stanowi największą ich wartość. Boga-  
ctwo poszukiwań, uleganie różnorodnym wpły-  
wom, mogą być pocytywane tylko na plus mło-



Walentyna Symonowicz: Autoportret

deja malarce, która jak wielu innych zdolnych  
plastyków walczy o swoją indywidualność  
i postawę.

Jean Cocteau powiedział o La Fresnaye:  
„Malując, wyzwala się on z dramatu, że jest  
malarzem”. — Wypowiedź ta charakteryzuje  
świetnie trudne i ciężkie przeżycia związane  
z kształtowaniem się talentu.

Sledząc rozwój malarstwa Symonowiczów-  
ny, obserwując prace w porządku chronolo-  
gicznym, zauważymy, że i u niej rozwija się  
proces normalny, spotykany wiele razy u na-  
szych plastyków: zbliżenie do natury, rezy-  
gnacja z uproszczeń, które z czasem stają się  
użyte, wkraczają łatwo w dziedzinę schema-  
tu, a równocześnie idzie w tym bogacenie for-  
my i koloru. Przejście to zaznacza się w ostat-  
niej kompozycji: „malarki p. t. „Sielanka”.

W poważnych studiach portretowych i mart-  
wych naturach kolorysta jest bogatszy, niż w  
kompozycjach. Piękna martwa natura z błę-  
kitną draperią zasługuje na szczególne wyróż-  
nienie.

Dó rysunków Symonowiczówny, ilustrują-  
cych przeżycie z okupacji, wkradły się nie-  
przyjemny ekspresjonizm i secesja. Uważa-  
jąc je trzeba za jeszcze jeden etap w rozwoju.

Ujmując całokształt pracy malarki, da się  
on ująć jako poważny i obiecujący wysiłek  
temperamentu niespokojnego, nad wyraz  
wrażliwego i bogatej wyobraźni.

Teresa Tyszkiewiczowa



Walentyna Symonowicz: Grafikowa



# Na wielkiej fali

JERZY BARSKI

## O bombie atomowej i jej twórcy

Gdy w końcu roku 1941-go w niewiele tygodni przed napaścią japońską na Pearl Harbour — amerykańscy fizycy zdolali przekonać Roosevelta i przedstawicieli sztabu generalnego Stanów Zjednoczonych, że istnieje praktyczna możliwość skonstruowania fantastycznej bomby atomowej — niewątpliwie nie zdawali sobie oni wówczas sprawy ze wszystkich konsekwencji swego kroku.

Mam tu na myśli nie tylko wpływ nowej broni na przebieg i wynik toczącej się wojny i na zmianę odtań, do gruntu, charakteru i możliwości wojny w ogóle. Mam na myśli nie tylko wpływ tego niezwykłego wynalazku na politykę światową, wpływ, który jeszcze dzisiaj trudno jest ocenić a nawet zakwalifikować. Chodzą mi w tej chwili o to, że kilkuset najwybitniejszych fizyków, którzy oddali się na początku 1942-go roku do dyspozycji rządu amerykańskiego i rozpoczęli gigantyczne, iście prometejskie dzieło — może najmniej myślało o tym, jaki nieoczekiwany wpływ wywrze ich praca na nich samych, jak odbiją się jej konsekwencje na organizacji nauki i badań naukowych, jak głęboko naruszą one tradycyjne obyczaje, i dobre, samej nauki. I znów, jak w bardzo wielu innych wypadkach — zjawiska przyrodnicze zostały z największą precyzją przewidziane, obliczone i wywołane zgodnie z przewidywaniami. Natomiast konsekwencje społeczne i polityczne tych działań — sposób w jaki odcisnęły się one na losach ludzi na naszej ziemi był pod wieloma względami zupełnie nieoczekiwany, a co gorsza konsekwencje te okazały się dla nas trudniejsze do uporządkowania i opanowania od najzawilszych problemów związanych z wnętrzem atomu.

Było rzeczą zrozumiałą, że w latach od 1942 do 1945 gigantyczne w swoim zasięgu i rozmachu prace prowadzone w pierwem w Chicago, a następnie w miejscowości Los Alamos w Nowym Meksyku — były otoczone największą tajemnicą. Ciekawym i rzucającym pewne światło na układ amerykańskich stosunków jest fakt, że wydatkowanie kilkuset milionów dolarów i zatrudnienie wielu tysięcy ludzi, w tej liczbie i osób o głośnych nazwiskach w związku z produkcją bomby atomowej, odbyło się dla uniknięcia rozgłosu, nie tylko bez sankcji Kongresu ale i nawet bez jego wiedzy!

Te i inne, choć oczywiście nie wszystkie szczegóły tej sprawy podaje ogłoszona niedawno w Ameryce niewielka, licząca zaledwie 182 strony, ale niezwykle treściwa książka profesora fizyki Uniwersytetu w Princeton, Smyth'a.

A więc dopiero teraz dowiadujemy się, że pierwszą udaną reakcją łańcuchową badacza zapowiedział i jednocześnie wstępny laboratoryjny próba eksplozji atomowych — została przeprowadzona w Ameryce stosunkowo niedawno, w ostatnich dniach 1942-go roku. Wydajność energetyczna tej próby wykazała zaledwie pół wolta. Ale tego wystarczyło, żeby utwierdzić przekonanie o realności i praktycznej wykonalności całego przedsięwzięcia.

Profesor Smyth twierdzi, że prace podjęte i przeprowadzone w tej dziedzinie w ciągu roku 43-go i 44-go są niesłychanym i rekordowym wyczynem nie tylko jako osiągnięcie fizyki współczesnej, ale nie mniej jako njebywały w dziejach sukces organizacji przedsięwzięcia przemysłowego na wielką skalę. Należało np rozwiać na skalę produkcyjnej choćby tak trudne zagadnienia, jak rozdzielanie większych ilości izotopu t. zn. swoistej odmiany uranu o ciężarze atomowym 235, występującego w rudzie uranowej w ilości zaledwie 0,7 procenta od pozostałego uranu o ciężarze atomowym 238. Rozdzielań tego trzeba dokonywać dosłownie atom po atomie. To znaczy tyle, co wyczerpywać wodę z jeziora ręcznym wiadrem. Tak zwany spektrogram masowy, stosowany do rozdzielania izotopów w laboratoriach fizycznych przed wojną, miał wydajność obliczoną w tysiącach częściach grama. Zaś dla potrzeb bomby atomowej potrzebne były — to w możliwie najkrótszym czasie — kilogramy.

Już podczas prób, przeprowadzonych w Chicago, w Oak Ridge i Los Alamos, otworzyły się zupełnie nowe horyzonty i zostały dokonane odkrycia, o których nie śniły w najśmielszych swych marzeniach średniowiecznej alchemii. W laboratoriach atomowych ręce ludzkie dokonały rzeczy niesłychanej. Przyroda została nie tylko poddana woli człowieka ale zdystansowana, pozostawiona w tyle. W przyrządach skonstruowanych przez geniusz ludzki powstały nowe pierwiastki t. zw. pierwiastki transuraneowe: Pluton i Neptun. Pierwiastki te nie istnieją nigdzie na ziemi i nawet astrofizycy nie natrafili dotychczas na żaden ślad ich występowania w najbardziej oddalonych ciałach niebieskich.

I oto pierwiastki te, w pełnym tego słowa znaczeniu stworzone przez człowieka, są przedmiotem już nie doświadczeń, ale wręcz fabrykacji, obliczenia w kilogramach.

Sprawozdanie profesora Smyth'a jest próbą przełamania bariery milczenia, którą pragną wzniesić dookoła pewnych złochoyzy nauki niektórzy ludzie w Stanach Zjednoczonych.

Od szeregu miesięcy toczy się w St. Zjednoczonych, Kanadzie i Anglii kampania, w której uczeni, w tej liczbie twórcy bomby atomowej, wysuwają przede wszystkim żądanie przywrócenia, pozostającej mimo zakończenia wojny nadal w zawieszaniu, swobodnej i niezmienionej skrupulatnie wolności wymiany nie cenzurowanych przez nikogo informacji naukowych.

Kilka miesięcy temu powstał w Ameryce Związek Pracowników Naukowych Los Ala-

mos". Jest to, jak wiadomo, miejscowość w pobliżu miasta Santa Fé w Nowym Meksyku, w której powstały wielkie zakłady atomowe o charakterze ośrodka naukowego i przemysłowego.

Związek ten jako naczelny cel swej działalności obrął sobie popieranie zastosowania praktycznego postępu nauki i technologii dla największego pożytku ludzkości. Jego organizatorzy są zdania, że nauczonych, ze względu na ich wiedzę ogólną i specjalną, ciąży poza zwykłym obowiązkiem obywatelskim wyjątkowa odpowiedzialność polityczna i społeczna. Zapowiedzieli oni, że nowopowstały Związek będzie się starał sprostać tym szczególnym obowiązkom w pierwszym rzędzie przez odpowiednią wymianę informacji między jego członkami i przez zapewnienie im trybuny, umożliwiającej publiczne głoszenie myśli i przekonań.

Jesienią ub. roku Związek wydał manifest skierowany w pierwszym rzędzie do prezydenta Truman'a, członków Kongresu i prasy. Jego zadaniem miało być poinformowanie narodu amerykańskiego o pewnych sprawach związanych z bombą atomową, aby ułatwić zrozumienie wszystkim jej następstw politycznych i wojskowych.

Trzeci tego manifestu została przemilczana przez dużą część prasy amerykańskiej i dotarła do moich rąk w przedruku w znakomitym czasopiśmie francuskim „Les Etoiles”. Jest on, do tego stopnia ciekawy i znamienity, a miejscami wręcz sensacyjny, że pozwolę sobie przytoczyć wyjątki z niego w dosłownym tłumaczeniu.

„Nie możemy mieć nadziei — powiada uczeni amerykańscy — na trwały monopol bomby atomowej. Inni badacze mogą zastosować podstawowe zasady tego wynalazku w sposób może nawet szczęśliwszy, niż my. Inne narody w trosce o swoje bezpieczeństwo będą się starały również podjąć produkcję bomb atomowych w przekonaniu, że potrafią tego dokonać w ciągu kilku lat, nawet nie uzyskując od nas żadnych szczegółowych danych technicznych.

Jedyny „sekre” stanowią pewne szczegóły technologiczne. Przy tym również i w oficjalnych Sprawozdaniach Ministerstwa Wojny wspomniane jest o całym szeregu sposobów

fabrykacji, z których każdy udało się zastosować z powodzeniem.

Obecnie nie istnieje żadna specjalna obrona przeciwko bombie atomowej. Jedyne co można przedsięwziąć dla obrony przed nią jest: wojna zaczepna, prewencyjna, wgl działania represyjne. Jeśli stosunki międzynarodowe nie ulegną poprawie, obawa przed bombą atomową zwiększy tylko możliwość jej zastosowania zapobiegawczego przez jakieś państwo, które uzna sytuację dla siebie za niepokojącą.

„Cały wysiłek, aby zachować wyłącznie dla Stanów Zjednoczonych sekret produkcji bomby atomowej jest z góry skazany na niepowodzenie — powiada uczeni amerykańscy. — Na tej drodze doprowadzi się jedynie do tego, że pozabawi się wielką liczbę badaczy w Stanach Zjednoczonych bardziej szczegółowych informacji i w ten sposób opóźni się dalszy rozwój fizyki jądrowej i chemii w Ameryce.

Szerokie rozpowszechnienie złożu uranu na kulę ziemską uniemożliwi wszelką monopolizację.”

I dalej: „Kontrola energii atomowej w skali światowej jest jedynym możliwym rozwiązaniem.

Mechanizm takiej kontroli z góry przesądza konieczność poświęcenia w pewnym stopniu suwerenności każdego państwa, a w tej liczbie i naszego t. zn. Stanów Zjednoczonych.”

W dalszym ciągu odezwa Związku pracowników naukowych Los Alamos zaleca, aby Światowa Rada Bezpieczeństwa, poprzez Międzynarodową Komisję techniczną, miała pod swoją pieczę i kontrolą wszystkie źródła surowców, potrzebnych do produkcji bomby atomowej. Komisja ma według tego projektu zbierać i odpowiednio rozpowszechniać informacje naukowe, odnoszące się do tego przedmiotu.

W końcu manifest powiada: „tylko prowadząc taką politykę, my Amerykanie możemy uzyskać gwarancję, że bomba atomowa nie zostanie użyta dla naszej własnej zagłady.”

Wypowiadane w cytowanej i w innych deklaracjach poglądy uczonych amerykańskich w bardzo poważnym stopniu przyczyniły się do ukształtowania opinii Stanów Zjednoczonych i

świata w sprawie energii atomowej i organizacji dalszych badań w tym kierunku. Niewątpliwie stanowisko przez nich zajęte nie pozostało bez wpływu na niedawne, narazie bardzo jeszcze ogólnikowe, uregulowanie tej sprawy między 3-ma wielkimi państwami.

W czolowych organach nauki angielskiej i amerykańskiej napotyka się na wiele wypowiedzi ludzi nauki w sprawie organizacji bezpieczeństwa światowego i usunięcia groźby zastosowania broni atomowej.

Projekty są rozmaite. Grupa uczonych angielskich z profesorem Oliphant'em, lordem Barbazon'em, na czele wysuwa następujący program działań: Międzynarodowa Komisja, w skład której wchodziłyby fizycy, chemicy i technolodzy, miałaby wolny dostęp do laboratoriów, zakładów przemysłowych i instytucji naukowych we wszystkich państwach. Komisja ta działająca w ramach Org. Narod. Zjedn. byłaby ciałem doradczym sztabu głównego Rady Bezpieczeństwa. Zadaniem jej byłoby m. in. wpływanie na taką organizację przemysłu w różnych krajach, aby jego przestawienie na produkcję wojenną było niemożliwe lub trudne. Częścią tego planu jest wzajemna i pełna wymiana informacji naukowych w skali światowej, organizacja silnego międzynarodowego korpusu sił zbrojnych, oraz stworzenie instytucji, związanej z Organizacją Narodów Zjednoczonych, mającej na celu popieranie i kontrolowanie dalszych badań, zmierzających do pokojowego zastosowania energii atomowej.

Gdy czyta się o tych i innych projektach, nie można oprzeć się wrażeniu, że są one do pewnego stopnia zawieszona w próżni, że brak im często powiązania z konkretną rzeczywistością polityczną i społeczną. Wydaje się, że niektórzy uczeni zapominają chwila, że dwie miliony wojny trudno przypisać tylko wadliwej organizacji stosunków dyplomatycznych i brakiem odpowiednich przepisów postępowania między narodami. Przypuszczam, że po to, aby wszelkim projektom racjonalnej organizacji nowego świata nadać postać realną, należy zdać sobie przede wszystkim sprawę z tych rzeczywiście działających sił, które bezustannie w ciągu minionego okresu pchały społeczeństwa europejskie na niebezpieczną granicę i w końcu zerwały ją w ołchaf wojny. Jakie są te siły? Czy rzeczywiście przestały one działać z chwilą gdy zamilkły armaty II-jej wojny światowej? Oto wydaje mi się sedno zagadnienia, którego wyświeślenie wartoby się było poświęcić najcięższemu umysłom.

## Kronika gospodarcza

# Kauczuk

W 1939 r. prasa przyniosła wiadomość o olbrzymiej transakcji wymiennej między Wielką Brytanią a Stanami Zjednoczonymi. Wymieniano kauczuk na pszenicę. Dwie potęgi gospodarcze, nie uznające w zasadzie handlu wymiennego, postanowiły wymienić miliony ton pszenicy za setki tysięcy ton kauczuku. Zbliżyła się wojna. Stany Zjednoczone, konsumujące gros światowej produkcji kauczuku — nie produkowały go zupełnie. Musiały się więc zabezpieczyć, musiały stworzyć surowcowe rezerwy. Ale Wielka Brytania, główny producent i eksporter kauczuku, żyje z importu żywności. Trzeba było stworzyć zapasy pszenicy, żeby zabezpieczyć się przed wojennymi niespodziankami w transporcie. Dlatego Anglia nie chciała sprzedać kauczuku za gotówkę, dlatego żądała w zamian pszenicy.

To była polityka przewidująca. Upadek Malajów i Indonezyjskich wysp przystąpieniu Japonii do wojny potwierdził słuszność tej ubezpieczeniowej strategii. Kraje Dalekiego Wschodu pokrywały bowiem do czasu wojny 9/10 światowego zapotrzebowania na kauczuk naturalny. Plantacje Dalekiego Wschodu rozciągają się na przestrzeń 1.630.000 ha. W roku 1935 w plantacjach brytyjsko-holenderskich zajmowana była poważna suma 730 milionów dolarów.

Anglia, główny dysponent kauczuku, miała z nim niemało kłopotu w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu i są dane, aby twierdzić, że kłopoty te bynajmniej nie maleją.

Był czas (1905—1910), gdy Brytyjczycy walczili z głównym producentem kauczuku — Brazylią. Walczyli o niższe ceny. Od roku 1920 walczą zjadłe, przy użyciu całego zespołu środków, o wyższe ceny. Brazylija, dzięki postępnemu wykradzeniu nasion drzewa kauczukowego przez Sir Henry Wickhama i stworzeniu plantacji w koloniach brytyjskich, przestała być brania w rachubę jako poważny producent. Anglia zdobyła monopol na kauczuk, który tymczasem stał się surowcem o światowym znaczeniu. Singapur służył gros eksportu, a giełda Liverpoolu dyktowała ceny.

Dyktowała ceny — Ameryce, konsumującej jak np. w roku 1929 — 58,2% światowego spożycia. W Stanach Zjedn., obliczono, że w 1925 roku na skutek interwencyjnej polityki rządu brytyjskiego, Ameryka przepłaciła za kauczuk niebagatelną sumę 250 mil. dol. Nie podobało się to amerykańskim przemysłowcom. Postanowiono się bronić. Kongres amerykański przynął poważne fundusze na zbadanie możliwości zaprowadzenia plantacji na Zachodniej Półkuli. Przemysłowcy porozumieili się w sprawie stworzenia wspólnej organizacji zakupu, która byłaby silniejsza w pertraktacjach z brytyjskimi dostawcami aniżeli poszczególne firmy. Przemysł samochodowy wzmożył prace badawcze nad kauczukiem syntetycznym. Amerykańscy przedsiębiorcy postanowili szukać możliwości zakładania plantacji na terenach niekontrolowanych przez Brytyjczyków. Sławna, względnie osławiona, była swego czasu historia koncesji, uzyskanej przez amerykańską firmę

Firestone Com. w roku 1923 w Liberii. Firestone wydzierżawił od Libercji 400.000 ha w zamian za minimalną opłatę udział w zyskach \$ 2,5 milionowa pożyczka dla rządu Liberii. Liberia dostała pożyczkę. Firestone plantacji nie założył, bo był to okres katastrofalnego spadku ceny kauczuku na rynkach światowych. Drzewo kauczukowe, żeby zacząć dawać latex, musi mieć 6—7 lat. Konjunktura na kauczuk, w związku z olbrzymim rozwojem przemysłu samochodowego, spowodowała nagmierne zwiększenie przestrzeni, pokrytej plantacjami drzewa kauczukowego. Podaż rosła szybciej niż popyt. Przemysł samochodowy nie nadążał za przemysłem kauczukowym. Od 1923 r. do 1930 roku cena spadła z 72 c do — 5 c! W tej sytuacji Firestone nie myślał wcale o tym, żeby karczować lasy liberyjskie i sadzić herba brazylijskie. Zajął się natomiast inkasowaniem odsetek od pożyczki — której Liberia nie miała czym spłacać, bo liczyła na dochody z plantacji. Inkasował tak gorliwie, że w 1931 r. spłata pożyczki wyniosła 55% całkowitego wpływów skarbowych, co zmusiło rząd Liberii do wystosowania apelu do Ligi Narodów.

Cena kauczuku malała nieustannie do czasu — pierwszej wojny światowej. Oczywiście — nie wojna była tego przyczyną. Cena spadała mimo wojny. Brazylijskie piszcze od dawna przestały być obiektem zainteresowania. Na znaczeniu zyskały Malaje, Indie Holenderskie i Cejlon. Porozumienia kartelowe wielkich producentów potrafiły zatrzymać proces obniżki cen, a nawet — rok 1934 — spowodować znaczną wyżyzkę.

Po stracie w trakcie działań wojennych Malajów, Bury, Syjamu i Indji Holenderskich Brytyjczycy i Amerykanie mogli już liczyć jedynie na Cejlon, zapasy i — kauczuk syntetyczny. Akcje producentów kauczuku spadły z 68,1 w roku 1938 do 22,9 w lutym 42 r. Perspektywy były niewesołe. Ameryka rozbudowywała przemysł sztucznego kauczuku w sposób amerykański. Kto wie, czy przemysł ten w większym stopniu nie wpływał na spadek cen akcji naturalnego kauczuku, aniżeli japońskie sukcesy. Światowe spożycie kauczuku wyniosło przed wojną ca 1.100.000 ton. W czasie wojny sztuczny kauczuk produkowały w b. poważnych ilościach Niemcy, Związek Radziecki i Stany Zjednoczone. Zdolność produkcyjna amerykańskich fabryk oceniana jest na 1.200.000 ton — a więc tyle mniej więcej, ile wynosiła przed wojną, światowa konsumpcja kauczuku. To prawda, kauczuk syntetyczny jest drogi i nie do wszystkich celów może być użyty. Rozmiary tego nowego przemysłu w Ameryce i Związku Radzieckim stawiają jednak producentów kauczuku naturalnego w sytuacji dość trudnej.

Oczywiście, że najbliższe lata będą okresem wyrównywania niedoborów, pokrywania braków, wykonywania zaległych zamówień pokojowych, nie będzie więc kłopotu ze sprzedażą. Ceny są wysokie, zbyt wysokie i niedawniej, niż półtora miesiąca temu w parlamencie brytyjskim poseł konserwatywny Gammaus inter-

pelował min. Bevina, „jak długo rząd ma samuar płacić 10 pensów za kauczuk malajski a 18 centów za cejloński”.

Stwierdzono już, że stan plantacji na Malajach jest dobry. Niewiele drzew uległo zniszczeniu. Największą trudnością do zapewnienia sobie rąk roboczych, zaopatrzenie robotników w odzież, żywność i narzędzia, no i tonaż. Zapewnienie sobie siły roboczej to wielkie zagadnienie dla plantatorów: przed wojną pracowali na plantacjach robotnicy indyjscy i chińscy. Ludzi tych przeważnie nie ma w ich dawnych siedzibach. W tej chwili więc liczyć raczej należy na plantacje drobnych producentów, t. zw. tubylcze. Niemniej jednak eksperci oceniają, że w ciągu 3—4 lat eksport naturalnego kauczuku wyniesie może ca 1,5 mil. ton rocznie.

Królowie kauczuku martwią się już dzisiaj co będzie za lat kilka, kiedy krótkotrwały problem braków ustąpi miejsca trwałemu problemowi nadprodukcji.

W Anglii dyskutuje się ten problem dość gorąco. Po podpisaniu umowy pożyczkowej i umowy z Bretton Woods — Anglia będzie potrzebowała dolarów więcej niż kiedykolwiek. Za kauczuk można zdobyć dolary. Trzeba więc postawić produkcję na takim poziomie, żeby wytrzymała ona konkurencję sztucznego kauczuku. Projektuje się więc zawarcie ścisłego porozumienia kartelowego, które narzucać będzie swym członkom sposób eksploatacji terenów; przewiduje się czasową eksploatację pewnych tylko rejonów, żeby nie rozpraszać obecnie wysiłków na wiele stron. Projektuje się wreszcie usprawnienie form transportu i całkowitą koncentrację zainteresowanych kapitałów.

Wykradzenie nasion drzewa kauczukowego Brazylii spowodowało niekontrolowany wzrost „sztucznych” plantacji. Wynalezienie surowca zastępczego, udoskonalenie metod jego wytwarzania otwiera nowy rozdział opowieści o kauczuku. Anj Związek Radziecki, ani Ameryka nie zrzęgnięły całkowicie z produkcji syntetycznego kauczuku. Przedwojenne spożycie światowe naturalnego kauczuku wyniosło 1.100 tys. ton. Zestawmy te cyfry z cyfrą przewidywanego w najbliższych latach eksportu — 1.500 tys. ton kauczuku naturalnego i z cyfrą 1.200 tys. ton zdolności produkcyjnej fabryk amerykańskich, a ujrzymy rozmiary problemu. „The Economist” pisze otwarcie: „Czas kiedy właściciele plantacji mogli polegać na specjalnych przywilejach i kiedy ogół producentów mógł liczyć na ochronę drogą stwarzania planów regulacyjnych — minął. W najbliższych latach naturalny kauczuk będzie musiał się zmierzyć z ostrą konkurencją sztucznego; tylko niskie koszty produkcji zarówno u plantatorów wielkich, jak i małych, mogą im umożliwić przetrwanie”.

Niskie koszty produkcji przy artykule, którego cena zawiera w sobie 90% kosztów robocizny — coż to może oznaczać? I jakie wyniki z tego stosowania tej polityki skutki społeczne na Półwyspie Malajskim, w Indonezji, Syjamie, Buryi, Cejlonie i Sarawaku? A. K.



## Rozmaitości

## Wyniki pewnej dyskusji

Rozmowy o „Elektrze” Giraudoux zajęły dwa wieczory dyskusyjne w Klubie Piławickim. Mógłby kto mylnie sądzić, że zastanawiała dyskutujących wielka doniosłość i powaga tej sztuki. Tymczasem ponawiały się zdania, nie tylko zresztą zdania literatów ba gatelujące jej wygłos ideowy. Inicjatorzy wystawienia tej sztuki, przedstawiciele teatru powoływali się wyłącznie na zawarte w niej jakoby możliwości pracy dla aktora, który po wieloletniej przerwie okupacyjnej musi odnowić środki swego rzemiosła. Natomiast ludzie z zewnątrz, podając się za zwykłych, przeciętnych widzów teatralnych, zabierają głos, odnosili się do sztuki bardzo poważnie. Ten dojrzał w niej bohaterstwo, odpowiadające napięciu walki partyzanckiej z Niemcami, ów upatrzył sobie w sztuce Giraudoux marginesową łagodną postać ogrodnika i dostrzegł w niej jedynego wybawcy, który wyprowadzi ludzkość z okrucieństwa współczesnego świata. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że na widowiu teatralnej zawiązała się tu ludzka, pożądająca mesjanizmu i nie zawieszająca go w tym miejscu, gdzie wskazuje reżyser. To nie, że nie ma w samym tekście Giraudoux ani grama mesjanizmu, tragedia i swoisty temperament naszego teatru, o którym tak ciekawie mówił Leon Schiller, potrafi obciążać nawet takiego Francuza, jak Giraudoux. Z pewnego względu nie jest to wcale tak trudno, jakby się mogło wydać, nieuchwytność tej właśnie sztuki ułatwia zadanie naszemu temperamentowi.

Jak ktoś dowcipnie zauważył, gdyby zapytano 77 widzów, co w niej dojrzało, otrzymalibyśmy 77 odmiennej odpowiedzi. Obmielam się twierdzić, że sam autor byłby z tego wcale zadowolony, może martwiłby się tylko tym, że tych wszystkich 77 interpretacji nie wypląta w jeden człowiek. Ze sfer teatralnych padło pytanie, czy ta sztuka jest igraszką i tylko igraszką?

Wydaje mi się, że pytanie to nie trafia w sedno. Teatr Musseta to przecież igraszka, a jednak sztuki Musseta są jednoznaczne. Traktaty André Gide'a o moralności pretendują do powagi, której nikt im nie ma zamiaru odmawiać, a przecież jest to moralność wykretna.

W sztuce Giraudoux zagłada miasta Argos może być równie zartobliwa albo równie poważna, jak podniesiona lektura Agamemnona, które doprowadziły jego żonę do megalomanii, ale całe Argos kapie się w wieloznaczności, ta kąpiel była miła autorowi i, jak zauważył słusznie Żółkiewski, dogadzała mieszczkańskiej publiczności lat międzywojennych. Generacja symbolistów lubowała się w mglistości. Generacja międzywojenna ceniła wieloznaczność. Symboliści poczciwie wierzyli w „tajemnicę bytu”. Generacja międzywojenna nie dawała się nabrać na żadną wiarę. Relatywizm był niejako gwarancją wysokiego poziomu wyrobienia inteligencji i smaku. U nas publiczność karmiona myślowym bógosem nigdy nie dosięgała tego smaku, a odwoływał się do niego po wojnie, uzyć jej dzisiaj sztuki zagłębienia — nie potrafi nawet tak świetny reżyser jak Wierciński, skoro sam jej nie posiadał. Jesteśmy poczciwi od Francuzów z lat międzywojennych. Jasny rysunek relatywisty sprowadzamy do symbolicznej mglistości.

Rozbieżność interpretacji u poszczególnych widzów niektórzy tłumaczyli sobie tym, że reżyser obciążył sztukę nadmierną powagą. Ktoś słusznie zwrócił uwagę, że postaci zostały scalone, ujednoczone, że zatraciły swój relatywizm sceniczny. Czy sądzicie, że nasz widz, gdyby znalazł się w teatrze Jowweta, zdobyłby się na przyjęcie 77 interpretacji naraz zamiast wybrać sobie z nich jedną? Nasz widz nie chwytą całości. Nie należy go za to potępiać. Nasze czasy pochwalają go za to i nie w tym kierunku każą mu rosnąć. Ci, którzy nie dorosli do zasmakowania w relatywności i ci, którzy przez ten etap przeszli, podają sobie ręce.

Dyskusja na temat „Elektry” dotyczyła przede wszystkim kierunku i stylu literackiego. Dyskusja wyjątkowo stanowcza. Nie wstydzimy się prostych jednoznacznych poglądów moralnych, byleby czerpały, jak Anteusz siłę swoją z ziemi, aby zań nie posiadano nas o demagogię, nie będziemy powtarzali, że zemia usiana jest prochami umęczonych i rozparcelowana między chłopów. Domagamy się w sztuce takich samych prostych prawd moralnych dla inteligencji, jak i dla chłopów. Nie kwestionujemy żadnych form w sztuce, idzie nam o treść jednoznaczną, którą z konieczności i formę wypowiedzi z rozbieżnością. Jedno wiemy na pewno — wieloznaczność jest niekomfortowna historycznie, przebrzmiała bo nie ma tu jej powodu. Reżyser Henryk Szletyński nie miał nam, że za dziesięć lat takie sztuki jak „Elektra”, będziemy odczytywali całkiem inaczej. Za dziesięć lat Henryk Szletyński nie będzie ani czytał, ani wystawiał „Elektry” mimo jej wysokiej klasy literackiej, podobnie jak w latach międzywojennych nie przyszłoby mu na myśl siggać po master-klasowską „Księżniczkę Malenę”.

Klasyyczny tytuł sztuki nie daje tytułu do klasycyzmu. To wino się nie ustoi, nieestety, skwaśniej. Jesteśmy tego pewni, ale nie wy- starczy, że my tę świadomość mamy, ohoemy jej udzielić innym. O tym dyskutujemy i o tym warto dyskutować. „Elektra” jest dla nas tylko przykładem. Jesteśmy wdzięczni teatrowi, że wystawiając tę sztukę, dał nam okazję do dyskusji. Znając tempo opóźnienia się nowali francuskiej u nas, mamy nadzieję, że za kilka lat będziemy zwalozali sztuki Sartre'a, o których wielbiciele jutrzejsi tego egzystencjonalisty (jakież to trudne dla sar- matów słowo) jeszcze nie wiedzą, a które nieuchronnie do nas przybędą, jako ostatnie — oby jednak ostatnie! — wcielenie upodobań do niepokoju, śmierci i nicości, ale będziemy zwalozali inaczej. Wieloznaczność mo- ralna, relatywizm treści był uzasadnioną historycznie tragedią postępowej nawet inte- ligencji lat międzywojennych. Po wojnie inte- ligencja postępową straciła powody do jakiegokolwiek tragedii. Jean Giraudoux okupił swój relatywizm walką z faszyzmem. Składamy hołd jego pamięci i schlebiamy sobie, że lepiej, niż jego niewczesni wielbiciele, ro- zumiemy ten smutny fakt historyczny, że twórczość tego wielkiego pisarza przypadała na okres tak bardzo niewdzięczny.

ADAM WAŻYK

## KSIĄŻKI BRZECHWY DLA DZIECI

Nie jestem dzieckiem, krokodylem, anabapystą, wielorybem, Lucyną Krzemienicką, lokomotywą, naczelnikiem urzędu mieszkaniowego, mrówkojadem, kuzynką Ewy Szelburg-Zarembiny, dyrektorem urzędu mieszkaniowego, kangurem, egzystencjonalistą, Arturum Sandauerem, ptaszkiem, biskupem, kanapą, ciotką, Wandą Grodzienką, filatelistą, żółwiem, redaktorką „Świerzczyka”, Czerwonym Kapurkiem, Bolesławem Piaseckim, buchalterem, miejską ochronką, muchomorem, Stanisławem Ryszardem Dobrowolskim, głośnikiem, radio- węzłem, duchem Blanka, recenzentem „Odrodzenia”, trąbą i dlatego bardzo mi się podobają książki Brzechwy dla dzieci.

Jan Kott.

Jan Brzechwa  
fot. Ireny Strzemieniecznej

- Jan Brzechwa: Kaczka Dziwaczka z rys. Franciszki Themerson (Czytelnik)
- Tegoż autora: Tańcowała igła z nitką z rys. Fr. Themerson (Czytelnik)
- Tegoż autora: Baśń o korsarzu Palemonie z rys. J. K. Szancera (Czytelnik)
- Tegoż autora: Pan Drons i jego trupa z rys. J. K. Szancera (Kuthan)
- Tegoż autora: Lis i laskotka z rys. Olgi Siemaszkowej „Oknaes”
- Tegoż autora: Leń z rys. Eryka Lipińskiego „Oknaes”
- Tegoż autora: Globus z rys. Olgi Siemaszkowej „Oknaes”
- Tegoż autora: Orzech z rys. J. M. Szancera „Oknaes”
- Tegoż autora: Grzebień i szczotka z rys. Ha-Gi „Oknaes”
- Tegoż autora: Rzemiosła z rys. Ha-Gi „Oknaes”
- Tegoż autora: Dziurka w moście z rys. H. Piotrowskiego „Oknaes”
- Tegoż autora: Chruszcz z rys. H. Piotrowskiego „Oknaes”
- Tegoż autora: Krajanki z rys. H. Piotrowskiego „Oknaes”
- Tegoż autora: Szóstka-oszustka z rys. Eryka Lipińskiego „Oknaes”

## SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA”

Ukazało się nowe wydanie

J. Plechanow: „PODSTAWOWE ZAGADNIENIA MARKSIZMU”

Cena Zł 30,—

Z literatury marksistowskiej są jeszcze do nabycia:

	Cena Zł
W. I. Lenin: Karol Marks	5,—
W. I. Lenin: Dzieciła choroba lewicowości	20,—
K. Marks i F. Engels: O materializmie historycznym	8,—
K. Marks i F. Engels: Manifest komunistyczny	5,—
K. Marks: Praca najemna a kapitał	5,—
F. Engels: Rozwój socjalizmu od utopii do nauki	5,—
F. Engels: Ludwik Feuerbach i zmierzch klasycznej filozofii niemieckiej	8,—

—oO—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

Centrala — Łódź, Piotrkowska 86 — wysła za załiczeniem pocztowym lub po otrzymaniu wpłaty na konto „Społem” 52 Łódź lub PKO Łódź VII/995

## Zjazd pedagogiczny w Łodzi

Jedną z ważniejszych przyczyn, która niewątpliwie skłoniła ZNP do zorganizowania zjazdu pedagogicznego w Łodzi było fiasco zjazdu bytomskiego, na którym kwestie związane ze strukturą współczesnej szkoły, ideałem wychowawczym, nowymi prądami w pedagogice, nie skupiły na sobie zainteresowania delegatów. Ostra krytyka, z jaką spotkał się ów zjazd w prasie, spowodowała, że ambicją związku stało się zatrzeć przykre wrażenie Bytomia i wykażać swe nęczniejsze zainteresowanie dla spraw pedagogicznych. Zjazd ostatni nawiązywał więc raczej do I Zjazdu łódzkiego zarówno w problematyce referatów tam wygłoszonych, obejmujących najważniejsze zagadnienia współczesnej szkoły, jak i udziale szerokiego przedstawicieli świata pedagogicznego, administracji szkolnej i nauczycieli. I dobrze się stało, że poszczególne prelegentów podkreśliły właśnie ową łączność ideową obu zjazdów; gdy bowiem uchwały podjęte w czerwcu i dotyczące reformy szkolnictwa stanowiły raczej pewne wytyczne polityki oświatowej w Polsce, wyznaczyły teoretyczne założenia i dążenia nowej szkoły, to chwila obecna — po 8 miesięcznych doświadczeniach i zdobyciach demokracji — dojrzała do realizacji wysuniętych na pierwszym zjeździe postulatów. Jeden tylko zarzut można by postawić ostatniemu zjazdowi, że, mimo całkowitego zrozumienia potrzeby wprowadzenia w życie hasła wychowawczych związanych z zagadnieniem reformy szkolnej, doceniając w pełni związek jej z dokonanymi już reformami społeczno-gospodarczymi, nie wysunął żadnych konkretnych wniosków w sprawie sposobów ich realizacji. Zjazd zorganizowany był przy ściślejszej i czynnej współpracy Ministerstwa Oświaty — wystarczy wspomnieć, że na siedem referatów — cztery wygłoszone były przez przedstawicieli centralnych władz szkolnych, którzy zresztą reprezentowani byli na zjeździe bardzo licznie.

Zastanawiała tylko nieobecność dwóch wice-ministrów: ob. Kuczkowskiej i ob. Bieńkowskiego. Czyżby w nawale przygotowań i wstępnych prac zjazdowych zapomniano doreczyć im zaproszenia? Ściśle współpracując z pracownikami administracji szkolnej, wysoki poziom referatów tych ostatnich, wykazały, jak bardzo dobro szkoły wymaga koordynacji wysiłków obu tych czynników i jak niesłuszną była uchwała bytomska ZNP, pozbawiająca członkostwa związku byłych nauczycieli zatrudnionych w administracji szkolnej. Podstawowym problemem, który dominował w referacie zarówno ministra Wycecha, profesora Chalaśńskiego jak i dyr. Kwiatkowskiego, była kwestia związania pracy wychowawczej z techniczno-gospodarczą i społeczną strukturą kraju. Wszystkie te referaty w dużej mierze wzajemnie się uzupełniały.

Wywody prof. Chalaśńskiego miały charakter raczej teoretyczny i ogólny. Prelegent udowodnił, że system kształcenia i wychowania jest ściśle związany z dominującymi instytucjami danego społeczeństwa i że z punktu widzenia socjologicznego szkoła nie kształci i nie wychowuje abstrakcyjnego człowieka w próżni, lecz przygotowuje młodzież do ściśle określonej roli społecznej. Dla podkreślenia słuszności swojej tezy prelegent powołał się na przykłady z różnych krajów świata, porównując poszczególne systemy i ideały wychowawcze rozwinięte na tle społeczno-ekonomicznego podłoża. Min. Wycech zanalizował bardzo szczegółowo stosunki polskie, omówił dokładnie warunki kształtujące życie naszego państwa po ostatniej wojnie (wzrost potęgi politycznej, wynikający z uzyskanych nowych granic na Odrze i Nisie, stosunek do ZSRR oraz do demokracji zachodnich, nową strukturę gospodarczą, która wysunęła na czoło warstwy dotąd krzywdzone — warstwę robotniczą i chłopską, choć dobro, jako jedyny dziś cel państwowy), oraz przedstawił zadania nauczyciela polskiego — polegające na przygotowaniu młodego pokolenia do twórczej i odpowiedzialnej pracy dla dobra państwa kształtującego się w oparciu o nowy układ stosunków politycznych, społecznych i gospodarczych. Dalej min. Wycech sprzeciwił się rozporządzeniom (szczególnie wśród pewnych członków ZNP) przekonaniu o apolityczności szkoły, stwierdził, że szkoła stoi i stać musi w służbie społeczeństwa oraz przeciwnie, że tak jeszcze częściej w niektórych kołach, abstrakcyjnemu ideałowi szkoły demoliberalnej.

Rzeczowy referat ministra w sposób trafny ujął istotne zagadnienia polityki państwowej i opartej o tę politykę kwestię szkoły

współczesnej. Ściśle zaś i konkretną zależność kształcenia od ekonomicznych i społecznych potrzeb społeczeństwa, uwydatnił w swoim referacie dyr. Kwiatkowski. Kraj nasz, który z zacofanego, rolniczego stopniowo przeobraża się w przemysłowo-rolniczy, postępowy, potrzebuje nowych kadr pracowników, potrzebuje ludzi wychowanych gospodarzów i społecznie, zdolnych do wyrównania olbrzymich naszych zaniechań, zdolnych do spełnienia wielkich zadań, wywołanych naszą rzeczywistością geopolityczną. Tych ludzi winna wychowywać odpowiedzialnie przebudowana, dzisiejsza szkoła, szczególnie zaś szkoła zawodowa wszystkich typów. Prelegent słusznie podkreślił wielkie znaczenie szkoły tego typu jako specjalnie ważnej i tak, niestety, w Polsce zaniedbanej, wysunął postulat związania jej z życiem gospodarczym, z pracą związków zawodowych, rad zakładowych, postulat wykształcenia nowego stosunku do pracy, jako do sprawy nie przymusu, ale honoru i godności.

Problem ideowych założeń ostatnich programów szkolnych zgrupowanych wokół zagadnień nowej Polski podkreślających w przeszłości to wszystko, co służyło walce o postęp i demokrację i jednocześnie sprawy ilości szkół, usunięcia krzywdy dziecka wiejskiego poruszała w swym referacie dyr. Kormanowa. Nawiązawszy do rezolucji I Zjazdu łódzkiego omówiła osiągnięcia oraz, niestety, niedociągnięcia w ich realizacji, sformułowała pewne wskazówki na przyszłość, szczególnie zaś określiła rolę ZNP w pracy oświatowej w Polsce.

Niejako uzupełnieniem tej wywodów był referat dyr. Szayena, który omówił i sformułował przez zwolenników i twórców reformy szkolnej projekt struktury nowej szkoły polskiej, podkreślając trudności jej realizacji i wysuwając znany już pogląd o konieczności przejściowego utrzymania „klas wstępnych”, które w pewnym miarze zastąpić miałyby kl. VIII nowej szkoły, niemożliwą — wedle autora — do zrealizowania już teraz.

Referaty inne: prez. Maja oraz członka Zarządu Głównego ZNP — ob. Popławskiego — niestety poziomem swym nie dorównały poprzednio wymienionym. Zarówno poglądy jak i postulaty wychowawcze ob. Maja stały w wyraźnej sprzeczności z głoszonymi przez min. Wycecha podnosząc ideał wszechstronnego kształcenia osobowości i sił duchowych, ideał indywidualizmu wychowawczego, obiektywizmu i uniwersalizmu, głoszone kiedyś przez szkołę demoliberalną i oderwane w zupełności od wymagań dzisiejszego życia i współczesnej szkoły. Wystąpienie przeciw technokracji, która — „zabija siły i inwencje narodu i czyni człowieka niewolnikiem maszyny” w kraju tak zacofanym pod względem techniki jak nasz przypomina poglądy pewnych reakcyjnych grup przedwojennych. Wspomnieć należy, że ob. Maj znalazł poparcie swych poglądów w wygłoszonych podczas dyskusji tezach dwóch osób, które ze świata naukowego: prof. Radlińskiej i prof. Szumana. Prof. Radlińska wypowiedziała w pięknych wprawdzie słowach miano dziś tracący anachronizmem pogląd o szkodliwości technokracji i o nawrocie cywilizacji ludzkiej do „ruralizacji”, do wiejskości, prof. Szuman zaś wystąpił z hedonistyczną teorją istnienia państwa dla szczęścia jednostki. Okazał się zwolennikiem teorii nieskrepowanego indywidualizmu oraz zasady, „neminem captivabimus”, tak smutnie niestety zapisanej w dziejach szlachty polskiej.

O referacie ob. Popławskiego stwierdzić należy, że nie wniósł on nic nowego poza kilka, ma kolumnami o moralności w wychowaniu, konieczności odnowy człowieka i blisko godziwej twójającej rozprawy na temat demokratycznej przeszłości związku naucz. pol., bez wysunięcia konkretnych problemów i podania faktów.

Podjęte na ostatnim zjeździe rezolucje świadczą, o istotnym zrozumieniu potrzeb szkoły polskiej, zmierzają do stworzenia jednolitego, powszechnego, publicznego i bezpłatnego systemu kształcenia i wychowania, który oprze się na przedszkolu, 8-letniej szkole powszechnej oraz szkole średniej. Domagają się rozbudowy szkolnictwa zawodowego i zmiany dotychczasowych jedreżewicowskich ustaw szkolnych.

Od władz szkolnych oraz od ZNP oczekujemy teraz pełnej i wiernej realizacji wysuniętych postulatów i wyznaczonych celów.

J. Sza



# N O T Y

## PAPIEŻ O KAPITALISTACH

Dnia 25 lutego papież przyjął przedstawicieli pracodawców i robotników włoskich zakładów elektrycznych, wygłaszając przemówienie na tematy społeczne, z którego podajemy najważniejsze urywki: „Mylna doktryna twierdzi, że same prawa natury zmuszają was, przedstawicieli pracy, i was, posiadaczy kapitału, do ustawicznej nieprzejednanej walki. Nie trzeba wiele wyjaśniać, że nie da się uregulować życia społecznego na zasadach rzeczywistości racjonalnych i ludzkich drogą zwykłego usunięcia jednej ze stron. W takim bowiem wypadku zniknąłby ten obraz pracy, który daje życie i zapal ekonomii społecznej i prywatnej. Ponad różnicami, które dzieli pracodawców i robotników, istnieje wyższego rzędu jedność łącząca tych wszystkich, którzy współpracują przy produkcji. Ta jedność powinna być ostoją przyszłego ustroju społecznego. Ani syndykaty, ani związki zawodowe, ani komisje mieszane, ani kontrakty zbiorowe, ani wszelkie możliwe przepisy postępowego prawodawstwa społecznego nie będą w stanie zapewnić pełnej i długotrwałej zedy, jeśli się nie zorganizuje trwałej akcji zdolnej natchnąć stosunki ekonomiczne wartościami duchowymi i zasadami moralności. Dlatego błogostawie z głębi serca akcie kapłanów pracy, którzy wznoszą się ponad interesy partynie, ponad jakiegokolwiek rodzaju cele materialne, niosąc wraz z Bogiem światło prawdy i płomień miłości jednoczącej duszę”.

Stąd wynika jasno i wyraźnie, że:

1) nie da się uregulować życia społecznego na zasadach racjonalnych i ludzkich bez kapitalistów;

2) kapitalistów i robotników łączy wyższego rzędu jedność;

3) warunków pracy nie mogą zmienić ani związki zawodowe, ani komisje mieszane, ani kontrakty zbiorowe. Jeden jest tylko ratunek: akcja kapłanów pracy, którzy wznoszą się ponad jakiegokolwiek rodzaju cele materialne.

Nareszcie wiemy, jaki jest program społeczny papieża? Kapłanizacja przemysłu.

## WILKI W OWCEJ SKÓRZE

Pan KJW atakuje mnie ze świętym oburzeniem w notatce „Stypendia według klucza (Tygodnik Powszechny Nr 748) za to, że proponowałem partiom i organizacjom demokratycznym ufundowanie stypendiów dla wykształcenia przyszłych polonistów uniwersyteckich. Stypendia partynie miały tu wedle mojej intencji gwarantować wybór ludzi o postępowych przekonaniach — którzy by wreszcie przetrwali te złota serie zakutych endów na naszych katedrach polonistycznych. I z tego to powodu pan KJW, obrońca, rzecz prosta, „obiektywnej, apolitycznej” nauki nie posiada się z oburzenia na mnie. Pan KJW jako krakowianin pisząc o „apolitycznej” polonistyce, ma oczywiście na myśli Chranowskiego, Kółczakowskiego i Pigonia. Bo więcej nieprzytomnych chwalców dmowszczyzny i wrogów postępu Kraków polonistyczny już nie miał. Czyż doprawdy pan KJW ma czelność działalności Chranowskiego i publicystyki Kółczakowskiego z „Marcholta” nazywać naukową działalnością? Bo nie mam pretensji do Pigonia, który jest wielkim uczonym i otwarcie działaczem partyjnym.

A po wtóre pan KJW zechce nie udawać, że nie rozumie, o co idzie. Lewica polska nie potrzebuje dobierać sobie kandydatów na przyszłych profesorów spośród ludzi, których jedyną kwalifikacją jest aktywność partyjna. Są bowiem wybitni młodzi poloniści, których wyreakcyjność, będąc przed wojną u władzy, starali się zaszczepić. Ja znam z bliska te sprawy. Wiem jak najwybitniejszemu, Siedleckiemu, odmawiano stypendium, bo był „komunistą”. Wiem jak głodował (dosłownie!) Hopenstrand, jak musiał harować wydrapując pazurami czas na kształcenie Budzyk, jak była szczerka Rzeuska. Nie będę mmożył tej listy — a mógłbym. Co sa wari ci ludzie, świadczą ich prace. Nie wymienię lewicowców, których się trzymało na balercie i robotkach dziennikarskich, jak Wojeńskiego, Stawara, Millera. Nie przypomnę na ilu uniwersytetach przepadał Chałasiński. A o tych, których wyższe ze stypendiów wysyłały za granicę, których zeście miodem smarowali, nie wie pies z kulawą nogą. Bo właśnie wy dobieraliście ludzi tylko według klucza partyjnego. Dziś polska lewica funduje stypendia, tylko naprawi krzywdy przez was wyrządzone polskiej nauce w osobach jej młodych, postępowych adeptów.

A na uniwersytetach ci jawni reakcyjniści, którzy rzadzili przed wojną i teraz pozostają przy wpływach. I wyszukują te wpływy. Cylicznie udają owieczki obiektywizmu — a są wilkami partyjnicztwa. Złamać ten terror obkuraczający na naszych uniwersytetach można tylko taką samą bronią: polityczną. Mogłbym wam cytować fakty tego terroru. Mogłbym wam przytoczyć, jak się grozi niedzieleniem habilitacji za drukowanie w „Kuźnicy”. A nie będę tych faktów cytował dokładnie tylko dlatego, że znam waszą partyjną zaciętość i wiem, że to zaszkodziłoby bezwzględnie porządnym ludziom. Bo jesteście do gruntu nieoljalni.

i właśnie dla ciągłości pracy naukowej, dotąd pomijani ze względów politycznych, a wybitni naukowcy muszą wejść na uniwersytety, muszą uzupełnić ostatecznie do poziomu profesorskiego swe kwalifikacje. To jest droga ciągłości pracy kulturalnej. Dość szlachajstwa w myśleniu, panie KJW!

żk

## ABERACJA CZY FAŁSZERSTWO

„Łódzka „Kuźnica” od pewnego czasu przyciąga naszą uwagę — wyznaje „Głos Nauczycielski” w drugim numerze tegorocznym z lutego. Lepiej późno niż nigdy — o obywatela Związku! „Kuźnica” jest widać pismem o nieprzemijającej wartości skoro teraz możecie polemizować z numerem, który się ukazał w połowie listopada ubiegłego roku. Tylko — na Boga! nie robicie tego tak, byśmy się wstydzili za was musieli — o obywatela Związku! — i nam nie prawcie moralów w chwili, gdy bardziej by wam przystało stanąć w worku pokutnym i głośno się bić w piersi.

We wspomnianym, listopadowym numerze „Kuźnica” wyraziła poglądy, że zmieniony w latach trzydziestych system kształcenia nauczycieli wpłynął na zmianę ich oblicza ideowego. Dawniej, gdy do seminariów nauczycielskich miały po szkole powszechnej dostęp szerokie warstwy młodzieży chłopskiej, srodowisko nauczycielskie było postepowe, później gdy seminaria nauczycielskie przeniesiono — w szeregach nauczycielskich przeważył podatiu na wpływy reakcji element drobnoinieczajński.

Wierzmy, że niezbyt przyjemnie było wam usłyszeć te prawdy — o obywatela Związku! Lepiej by się jednak stało, gdybyście ja przyjęli w milczeniu. Po co to kusić licho i żalosne widowisko z siebie wyczyniać. Penitentowi wcale nie przystoi mna Katońska i uroczyście toż sędzię. Piętnujecie nasz sąd jako „diagnozę z wyobraźni”? — grzmicie z wielkiego konia o poczuciu odpowiedzialności za słowo? — Oto bijące w oczy fakty.

W r. 1928/9 seminarium nauczycielskie wypuściło 5480 absolwentów, pedagogia zaledwie 3 (trzech). W 1934/5 r. był następujący stosunek: 4184 absolwentów seminariów nauczycielskich do 161 absolwentów pedagogów. W r. 1936/7 te same cyfry układały się już zgola inaczej: wobec 754 absolwentów seminariów nauczycielskich było 187 absolwentów pedagogów. Na rok 1937/8 statystyka (Mały Rocznik Statystyczny 1939) nie wykazuje już wcale seminariów. Wszyscy produkowani od lat nauczyciele byli skazani na olbrzymi wysiłek przebijania się poprzez bariery szkół średnich. Wiadomo, że tylko dzieci ludzi za możnych były w stanie te bariery przekroczyć, tymbarziej, że ich dwustopniowość stanowiła dalszą dodatkową przeszkodę: po szkole średniej trzeba było odbyć roczny kurs w odległym mieście lub dwuletnie pedagogium.

Smutna to była rzeczywistość, a wy powiadacie — o obywatela Związku! — że myślni wysnuli „diagnozę z wyobraźni”. Kimże wy w końcu jesteście i za kogo macie swych czytelników, że takie chwytły polemiczne uchodzą w waszym gronie za dopuszczalne i skuteczne zarazem. I jeszcze macie czoło mówić o poczuciu odpowiedzialności za słowo!

Doprawdy wstyd.

buk

## SOJUSZNICZY?

Nielegalna N.S.Z-owska gazetka pn. „Wolność” (?) w numerze 9 z dn. 15 lutego br. wzywala swych czytelników do popierania i kolportowania prasy Polskiego Stronnictwa Ludowego, wymieniając jego organy: „Gazetę Ludową”, „Chłopski Sztabler”, „Piasta”.

Nie podejrzewamy, oczywiście, wydawców prasy PSL-owej o udzielanie płatnych anonosów „chłopcom z lasu”, bądź co bądź jednak przy najspokojniejszej nawet ocenie wyżej podanego faktu, musi on budzić bardzo poważne refleksje.

Bo w jakim to sposobie sprawy zaszyły tak daleko, że pisma stronnictwa de nomine rządowego, stronnictwa reprezentowanego w Radzie Jedności Narodowej przez wicepreiera i dwóch ministrów, reklamowane sa w antypaństwowych i antyrządowych pismkach przez zawodowych bratobójców, podpalaczy i grabieżców? W pismkach, wydawanych za skradzione — publiczne i prywatne — pieniądze, w zakamarkach „mniejszej roboty”, w atmosferze przygotowań do niemniej „ciekawej pracy” podczas wyborów. A może to właśnie te zbliżające się wybory wpływały tak przemownie na zaciężenie i ożywienie stosunków pomiędzy PSL a NSZ?...

A najciekawsza jest kwestia, czy i w jaki sposób PSL odgrodzi się od zuchliwości sojuszników „z lasu”, czy w trybie — tak jak należałoby — kategorycznym, zerwanie nic, wiedzące od „jedności narodowej” w mroczną krainę zbrodni? Paradozem politycznym jest w tym przypadku obrzydliwy i zarazem groźny, im przedziej będzie wytrzebiony z naszego życia publicznego, tym lepiej dla kraju i społeczeństwa, samego PSL nie wylaczając. Chyba — chyba, że to stronnictwo godziłoby się na „leśną” reklamę prasową, no i wszystkie wypływające stad konsekwencje.

lod

## POLEMKA

List dr Wierczyńskiego, dyrektora Biblioteki Narodowej, zamieszczony w nr 8 „Kuźnicy” zniewala nas do podjęcia polemiki w poruszonej już raz sprawie bibliotek warszawskich.

Panowie dyrektorzy Biblioteki Narodowej utrzymują jakoby przed wojną istniało 5 czytelni: 1 główna i 4 specjalne. Tymczasem sprawozdanie Biblioteki za rok 1937/38 podaje czarno na białym: „Czytelnia ogólna Biblioteki Narodowej była nadal nieczynna”, a my twierdzimy, że i w roku 1938/39 nie została uruchomiona. Poza tym pozwolimy sobie, gwoli ścisłości, stwierdzić, że czytelni specjalnych było 8 a nie 4 i zauważyć, że to nie my, lecz dyrektorzy Biblioteki Narodowej są źle poinformowani o elementarnych kwestiach dotyczących odcinkach ich pracy.

Nie o liczby jednak chodzi. Zobaczymy jak przedstawiała się dostępność Biblioteki Narodowej. Wspomniane już sprawozdanie podaje, że w Dziale druków starych, przez cały rok było 112 (sto dwanaście) odwiedzin, podczas gdy w Dziale kartograficznym naliczono ich 92 (dziewięćdziesiąt dwa). A ponieważ jak przypuszczamy, niektórzy odwiedzający przychodzili chyba po kilka razy, trzeba użyć łupy, by zauważyć tę tłumną frekwencję. W innych działach odwiedzających było więcej, co nie znaczy, że sytuacja przedstawiała się lepiej. „Dział druków nowych” — czytamy w sprawozdaniu — wypożyczył w roku sprawozdawczym; a) urzędnikom Biblioteki Narodowej 2,849 tomów, b) instytucjom w kraju i za granicą 309 tomów. „Czyż więc nie mieliśmy racji utrzymując, że w Bibliotece Narodowej nosi służy tabakierze? Dziwnie wprost rzeczy działy się w Dziale muzycznym. Cytowane już kilkakrotnie sprawozdanie informuje na str. 81 o 2,339 odwiedzinach podczas gdy tuż obok (str. 80) liczba ta zredukowana jest do 1960. Dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej dr Kuntze w „Przeglądzie Bibliotecznym” — XIII, 122 — nazywa tę rozbieżność „wprost podejrzana”. Już wtedy dyrekcja Biblioteki była gorzej od nas poinformowana o rzeczy w Dziale muzycznym gdzie, pamiętamy to dobrze, czytelników było tyle co koł napłakał.

Jak jest dzisiaj czytamy w „Sprostowaniu”: „Biblioteka Narodowa jest dostępna dla publiczności”. Wyjaśnienie to jest nic nie mówiący ogólnikiem. Dlaczego nie napisano po prostu: „Czytelnia otwarta od godz. ... do godz. ...”? Chyba dlatego, że gdyby przyszło do liczenia tych co obecnie „nadal korzystają” z Biblioteki, dyrektorzy tej Instytucji nie musieliby zdejmować butów, gdyż, starczyłyby palce u rąk.

Za łaskawe pouczenie o charakterze Biblioteki Narodowej dziękujemy uprzejmie i pozwalamy sobie zapewnić, że nie jesteśmy tak ciemni by nie odróżnić biblioteki od wypożyczalni. Pozwalamy sobie ponadto wypowiedzieć skromne zdanie, że nie szczepiłoby personelu (przeszło 70) stoi na przeszkodzie w opracowaniu zbiorów.

Nie potrzeba nam tłumaczyć, że zbory specjalne muszą być odbudowane, ale

zechcą dyrektorzy Biblioteki Narodowej uświadomić sobie, że rękopisy z biblioteki Załuskich ulotniły się spod Frankfurta nad Menem właśnie dlatego, że nie były opracowane nie posiadały ani polskich sygnatur, ani polskich pieczęci. Możemyśmy zatem się przeprosować do Ministerstwa Oświaty i przejrzeć akta, w których Biblioteka Narodowa przyznaje się do tego sama z własnej woli.

To nie my, lecz dyrektorzy Biblioteki Narodowej są źle poinformowani i nie chcą dojrzeć prawdy oczywistej, że „za miast odwrócić jak najprędzej katalog i udostępnić zbioru, układa się działy specjalne, wiszące w próżni, bo bez księgozbiorów, które splonęły, zaś prace nad katalogiem preliminarne się na lata” (słowa nasze z nr 4-go). Czyż mamy dyrektorem Biblioteki Narodowej wyjaśnić, że podczas gdy jedne działy, których wartość można do kieszeni włożyć mają po dwu „naukowych” kierowników, inne, istotne, nie mają ich wcale.

rk

## DUCHY P. PRADO

Ciągle jeszcze pozostaje w sferze naszej propagandy zagraniczną. Oto w padł mi w ręce przypadek numer 5 sztokholmskiego „Via Suedica”, wydawanego przez Komitet dla demokratycznej odbudowy (Komitetten för Demokratiskt Uppbygggnadsarbete) dla licznych cudzoziemców, przebywających w Szwecji. Obok języka węgierskiego, czeskiego i rumuńskiego większa część artykułów pisana jest po niemiecku i po polsku. Wobec tego, że nie ma chyba zbyt wielu pism polskich w Szwecji, sądzę, że nasi rodacy, w dość dużej ilości zamieszkujący jeszcze Szwecję, chętnie czytają wspomniane pismo. Obok artykułu z dzisiejszej Warszawy (z cytowaną w pełnym brzmieniu piosenką Harrisa), obok szerokiego omówienia współpracy polsko-szwedzkiej i szeregu wiadomości dotyczących Polski, z zainteresowaniem przeczytałem następującą notatkę:

„Wojska rosyjskie obsadzają wszystkie dzielnice Polski. Poczynając od dn. 15.10. rosyjskie wojska okupacyjne wkroczyły do wszystkich dzielnic Polski i w każdym mieście wojewódzkim ma być utworzony garnizon rosyjski. Na czele każdej armii okupacyjnej stoi rosyjski generał... Każdy z wymienionych wyżej generałów unarawniony jest do wydawania zarządzeń według własnego uznania. Sztandar sowiecki powiewa obecnie nad następującymi miastami: Warszawa, Łódź, Kraków, Lublin, Białystok, Kielce, nad Śląskiem, Gdańskiem i Częstochową. Mieszkańcy Warszawy dowiedzieli się o powyższym fakcie z bolesnym uczuciem. Został on ogłoszony przez „Życie Warszawy” oraz inne ścisła kontrolowane i cenzurowane pisma”.

Przyznam w tajemnicy, że i „Kuźnica” chciała o tym fakcie „z bolesnym uczuciem” napisać, jeno że cenzor łódzki nie pozwolił. Natomiast pozwala postawić obecnie głośnym następujące pytanie naszemu MSZ-otowi: Co się czyni, by raz nareszcie zacząć informować zagranicę o Polsce? Dlaczego MSZ nie rozpoczął jeszcze żadnej planowej i systematycznej akcji w tym kierunku? Dlaczego ciągle jeszcze jedynymi informatorami o nas sa Anders i londyńska klika? Bo skoro tak pisał w Sztokholmie, to czegoż może się dowiedzieć Polak w Londynie lub Glasgow? mm

## Korespondencja

### Do Redaktora „Kuźnicy”

W związku z notą w Nr 7 „Kuźnicy” dotyczącą Teatru WP, konstatując jako Dyrektor tego Teatru, że nikt z pracowników naszych nie oponował przeciwko zaangażowaniu kogokolwiek ze względu na jego lewicowe przekonania. Odpowiadając na ten zasadniczy i krzywdzący nasz zespół zarzut, pomijam sprawę jakiejś niewiadomej mi „grupki rządzącej teatrem”, uważając ją za wynik bardzo subiektywnych wrażeń ludzi spoza naszego Teatru, a tym samym mimo najlepszej ich woli, w której nie wątpię, nie orientujących się dostatecznie ani w strukturze ani w wewnętrznych stosunkach Teatru WP.

Krasnowiecki Władysław

### Do Redaktora „Kuźnicy”

Dowiedziałem się z „Kuźnicy”, że nie wiadomo właściwie, kto rzadzi Teatrem Wojska Polskiego. Jestem aktorem tego teatru. Przeraziłem się. Dotąd bowiem byłem przekonany, że rzadzi mna Dyrekcja Teatru. W czyichże rękach znajdują się moje losy? Co to za „grupka” nie pozwala na zaangażowanie „zbyt lewicowych” artystów? Jaka „grupka” może nie pozwalać na coś Dyrekcji? Rada Artystyczna? — Zasiadam w niej. Nie słyszałem, aby jakiś artysta był dla niej zbyt lewicowy. Wiem, że na pewnego lewicowego artystę nazwiskiem Leon Schiller oczekiwano niecierpliwie i uprosiła go, aby pracował w teatrze W.P. A zresztą — Rada Art. — to jedyne jest w Teatrze jakaś zakonszirowana nie ciało doradco-opiniodawcze. Więc kto? masoneria, wstecznicztwa, działająca terrorem? Brrr! Skóra mi cierpie! Apeluje, aby dyrek-

torzy nasi nie dali się terrorizować. Otrząsnijcie się ze strachu, zrozumcie, że żadna „grupka” nie może wam dziś przeszkodzić w zaangażowaniu do Teatru lewicowców! I powiedzcie wreszcie kto rzadzi Teatrem W.P.! Kto rzadzi aktorami? Kto mna rzadzi?

Jan Kreczmar

### Bardzo nam miło...

Z wielką przyjemnością zamieszczamy listy ob. ob. Władysława Krasnowieckiego i Jana Kreczmar. Nie wątpimy, że nikt z pracowników Teatru W.P. nie wysuwał względów politycznych, jeśli oponował przeciwko zaangażowaniu kogokolwiek. Tego byłoby już trochę za wiele. Nie jesteśmy tak naiwni, żeby oceniać rzeczywistość gatunkiem wysuwnych argumentów. Nie wiemy też, czy struktura jakiegokolwiek teatru w Polsce pozwala faktycznie pracownikowi teatru na opowiadanie przeciwko zaangażowaniu ludzi, którzy sa członkami ZASP-u. Niech to sobie, ob. ob. Krasnowiecki, Kreczmar i inni wybitni pracownicy teatru rozstrzygną między sobą, a ludziom z zewnątrz pozostawia prawo do ogłaszania w odpowiednim momencie, jak to zrobił Minkiewicz w „Robotniku”, swoich „bardzo subiektywnych” wrażeń, które sa odbiciem obiektywnej prawdy niedostępnej dla „ludzi wewnątrz”. Sprawa poruszona przez Minkiewicza jest już w obecnej chwili, w szczególności, nieaktualna. Czy jest jakaś grupa, która wpływa na rady w teatrze, to się również pokaże po obiektywnych faktach.

rk

CENY OGŁOSZEŃ: 1 linia zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000; Drobnie ogłoszenia 25 zł1 mm na 1 szpalce.

Redaguje Zespół „Kuźnicy”. Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski. Redaktor naczelny przyjmuje wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-41

D-02709

Wydawca: Zespół „Kuźnicy”. — Drukarnia

Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” Nr. 4, ul. Zwirki 2.